

odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok I. Łódź, 27 kwietnia 1958 r. Cena 1 zł nr 9

MARIAN PIECHAŁ

ŻYCIE BEZ ZŁUDZEŃ

Dozwolę ja sobie obecnie na powtórzenie tutaj pytania, które coraz częściej rozlega się dzisiaj ze wszech stron, że tak powiem, naszego społeczeństwa, a mianowicie, dlaczego tak jest, jak jest? To znaczy jak? Niedobrze! Dobrze, że nie-dobrze, może być nawet jeszcze gorzej, to znaczy całkiem źle, ale gdzie? Właśnie w tym społeczeństwie, które to pytanie zadaje, coraz bardziej zatroskane o siebie i dalszą swoją przyszłość. No, to już nie jest tak źle, skoro zjawia się troska z powodu tego, że jest źle. W czym? W patrzeniu na świat, a zwłaszcza na życie. Na życie bez złudzeń. Oczywiście patrzenie na życie bez złudzeń musi być pesymistyczne, a nawet zupełnie beznadziejnie czyli absolutnie — można powiedzieć — czarne.

Czy całe społeczeństwo tak patrzy na życie? Nie, na szczęście nie całe. A nawet śmiem ja tutaj powiedzieć, że ogromna większość społeczeństwa właśnie wprost przeciwnie czyli akurat odwrotnie. Ogromna większość społeczeństwa i najbardziej odpowiedzialna opinia narodu wyraża właśnie to zaniepokojenie i tę troskę dlaczego tak jest, jak jest? A jest tak, że do pewnej części społeczeństwa, a zwłaszcza w jego warstwach, że tak powiem, peryferyjnych, a potem wśród młodzieży i pewnej części inteligencji, zwłaszcza inteligencji twórczej, daje się zauważyć ów skrajny pesymizm w postrzeżeniu na życie bez złudzeń, czyli po prostu nihilizm, największe nie-szczęście, jakie może dotknąć społeczeństwo i naród. W ślad bowiem za nihilizmem, jak grzmot za błyskawicą, idzie anarchia i życie przemienia w piekło.

Choroba to czy moda? Powiedziałbym, że jak na razie jest to jeszcze moda, która jednak może stać się chorobą. Groźba tej choroby wywołuje właśnie tak powszechne zaniepokojenie odpowiedzialnej za los narodu opinii społeczeństwa. Świadczy o tym prasa codzienna, świadczy publicystyka, świadczy sztuka i literatura współczesna.

Co tu jest moda, a co chorobą? Choroba zaczyna się od mody. W przeciwieństwie do urzędowego optymizmu w poprzednim okresie tzw. kultu jednostki zapanował w okresie tzw. odwilży run na manifestowany publicznie skrajny pesymizm. Ten pesymizm, wyrażający się w ostentacyjnym czar-nowodziwie wszystkiego, co nas otacza, stał się modą zarówno w literaturze i sztuce ostatnich kilku lat, jak i w publicystyce, a nawet prasie codziennej. Ważnym sukcesem dla rodzimej mody pesymizmu stała się, niestety, wbrew

chyba swemu zamierzeniu literatura zagraniczna, zwłaszcza francuska i amerykańska, tak obficie w celnych przekładach przyswajana ostatnio naszemu językowi. Ten katastrofizm literatury francuskiej i amerykańskiej, zupełnie zrozumiały na tle groźby wojny atomowej i niepewnej przyszłości, podszyty jaskrawym biologizmem i zbyt nieraz ekshibicjonistycznym naturalizmem, znany nam jest dość dobrze sprzed wojny choćby z „Pożegnania jesieni” i „Nienasycenia” Wittkacgo albo „Zmór” lub „Motorów” Zegadłowicza, zaś „Proces” Kafki też nie był nam obcy w doskonałym przekładzie Brunona Schulza. Jeśli zaś teraz nasza sztuka, a zwłaszcza literatura popaździernikowa chwyciła się, jak tonący ostrza brzytwy, tego nienowego przeciwieństwa katastrofizmu, rodem z Francji i Ameryki, jeśli ulubowała sobie w jego brutalnym biologizmie i zwłaszcza w jego językowym plugawym naturalizmie, to jest to tylko snobistyczna moda, która oczywiście staje się chorobą. Wprawdzie choroba nie rozwinięłaby się, gdyby nie miała ku te-

Dokończenie na str. 7

W NUMERZE:

TAJNIKI
WYWIADÓW

DZIŚ GRA ŁKS!

ŻARTY
ROZEBRANE

BELFER
O PODWYŻCIE
CZYNISZU

HELENÓW
WYTWORNY

ASPAZJA

STANISŁAW CZERNIK

Między dawnymi a nowymi laty

PRAOJCOWIE Z GĘŚLAMI

Pbliża się wyjątkowa rocznica: milenium, tysiąc lat istnienia Polski. Wchodzimy w okres drugiego tysiąclecia, jako stare państwo i sędziwy naród.

Warto podumać nad tą polską „dawnią”. Jak wyobrażamy sobie naszych praojców sprzed tysiąca lat? Byliśmy dzikusami? Barbarzyńcami? Ludem pierwotnym o niskiej kulturze?

Nie odpowiem na te pytania bezpośrednio. Podsunę czytelnikom najstarszy obraz dziejowy, na którym widnieją postacie Prapolaków.

Rok 595. Oto co opowiada Teofylakt Simokattes, pisarz grecki, autor obszernej „Historii” w ośmiu księgach.

Cesarz bizantyński Maurycy wyprawił się na Awarów mieszkających nad Dunajem. Pewnego dnia doniesiono mu, że gwardziści schwyłali trzech ludzi pochodzenia słowiańskiego. Podawali się za posłów, przybyłych z gór (Karpát) od brzegów morza (Baltyckiego). Nie posiadali żadnego uzbrojenia. Nieśli jedynie cytary, czyli po naszemu gęśle.

Wielce dziwili się Grecy widząc tych mężów zbrojnych tylko w instrumenty muzyczne.

Teofylakt Simokattes pisze:

„Noszą zaś cytary, ponieważ nie są przyzwyczajeni odziewać się w zbroję, bo ich ziemia nie zna żelaza i dlatego pozwala im żyć w spokoju i bez waśni. Grają na lirach, ponieważ nie umieją dąć w surmy bojowe, a ludziom, którzy nigdy nie słyszeli o wojnie, zbyt ciężko są oczywiście surowsze rodzaje muzyki”.

Taki jest pierwszy wizerunek naszych praojców.

Ludzie pokoju. Ludzie, którzy udawali się w świat, na obszary objęte wojną, z gęślami w rękę.

Nie dziwny się, że ci nadzwyczajni wędrowcy stali się sensacją obozu bizantyńskiego.

Posłuchajmy jeszcze historyka.

„Cesarz tedy z wielkim zajęciem słuchał opowiadań o tym plemieniu, ugościł laskawie tych przybyszów z kraju barbarzyńców, a nadziwiwszy się ich wzrostowi i wspaniałej budowie wyprawił ich do Heraklei”. Niewiadomo, co się z nimi stało.

Uzupełniono więc wizerunek wędrownych gęslarzy ich cechami fizycznymi. Zdziwienie wywoływał wzrost i wspaniała budowa. Oto legendarny Waliğóra, oto klechdziarski Wyrwidąb!

Nie fantazja powieściopisarza, ani wymysł poety. Tak mówi dokument, rzeczowa zapiska historyka, którego Słowianie zza Karpát „ani zjeźbili, ani grzali”. A dla nas nie jest to rzecz obojętna. Dobrze mieć antenatów pięknych pod względem fizycznym i duchowym.

Czy przyznajemy się do nich? Myślę, że warto. Czy oni przyznaliby się do nas, „późnych wnuków”, jak powiem za Norwidem? Nie wiem. Jesteśmy ludźmi raczej wódki niż liry. Czkawka nas raczej oznajmia, nie dźwięk strun. Dziś byłibyśmy chyba inną sensacją pod namiotem cesarza bizantyńskiego.

Może to za surowy sąd. Podsuwa go uzasadniona gorczyca. Daliśmy się zdemoralizować czasem okrutnym, wiekowi zbrodni i wojen. Nie wierzę przecież, byśmy się zapili na śmierć, rozkradli sobie „na amen”. Otrzeźwiejemy. Musimy otrzeźwieć pod każdym względem, jeżeli nie chcemy zginąć. Dziś wytrąceni z równowagi, jutro wrócimy „do siebie”.

CZY wolność
morza
jest wiecznie aktualna
jak DZIESIĘCIORO
PRZYKAZAŃ I KORAN?

KORESPONDENCJA
WŁASNA
„ODGŁOSÓW”
Z GENEWY

SPRAWY MORSKIE

nad



JEZIOREM GENEWSKIM

REMIGIUSZ BIERZANEK

Dod kilku tygodni obraduje w Genewie Konferencja Narodów Zjednoczonych poświęcona sprawie kodyfikacji prawa morskiego. Jest to jedna z największych konferencji międzynarodowych, jakie kiedykolwiek miały miejsce. Bierze w niej udział 87 państw, przy czym skład osobowy delegacji niektórych państw sięga dziesiątków osób, w tym wielu wybitnych specjalistów z zakresu prawa międzynarodowego, zagadnień ekonomicznych, biologii, geologii i in. Tematyka konferencji — prawo obszarów morskich — posiada ogromną i bardzo różnorodną doniosłość dla wszystkich państw. Wystarczy wskazać

POŻYTKI, JAKICH DOSTARCZA MORZE

Jest ono wciąż najtańszą drogą, umożliwiającą transport obrzyniejącej masy towarowej i dużej ilości ludzi w stosunkach między państwami. Obok nawigacji następny pożytek z morza to rybołówstwo i polowanie na zwierzęta morskie (foki, wieloryby — które wbrew nazwie nie są rybami), zbieranie okazów flory i fauny morskiej (perły, gąbki, korale). Dalsze pożytki — to możliwość za-

kładania kabli podmorskich i rurociągów, przelot samolotami nad obszarami morskimi, eksploatacja bogactw mineralnych znajdujących się pod dnem morza, wreszcie osobliwym „pożytkiem” jest możliwość dokonywania na morzu manewrów wojskowych i przygotowań do wojny.

Wszystkie te sprawy są przedmiotem żywego zainteresowania wszystkich państw, nie wyłączając krajów pozbawionych dostępu do morza, które są reprezentowane na konferencji i biorą bardzo aktywny udział w obradach.

„WODY, KTÓRE KAPIA BRZEGI”

Z uwagi na różnorodność i obszerność tematyki praca toczy się równolegle w 5 komisjach. Pierwsza komisja obraduje nad zagadnieniami morza terytorialnego, to znaczy pasa morskiego, który podlega zwierzchnictwu państwa nadbrzeżnego („wody, które kapia brzegi”). Najtrudniejszym problemem tutaj jest ustalenie zasady, jak szeroki pas morza przybrzeżnego może państwo poddać pod swe zwierzchnictwo i uznać za własne terytorium. W 17 i 18 wieku przyjęła się zasada, że władza państwowa nad morzem sięga tak daleko, jak niesie strzał armatni z baterii nadbrzeżnej; w ówczesnych warunkach oznaczało to około 3 mil morskich (m. m. = 1.852 m). Wiele krajów, m. in. Polska do dnia dzisiejszego trwa przy tej zasadzie, mimo iż artyleria współczesna strzela inaczej. Większość państw jednak bądź to wyraża zdecydowaną wolę, bądź też już obecnie rozszerza pas swego morza do 4, 6 i 12 mil morskich, a niektóre państwa Południowej Ameryki pragnęłyby zastrzec dla siebie pewne wyłączne prawa aż do 200 mil m

Dokończenie na str. 314

CZY GODZI SIĘ OCZERNIAĆ WŁASNEGO MĘŻA

Obokrajowiec w Łodzi — to był dawniej prawdziwy rarytas. Pamiętam jeszcze te pełne podziwu spojrzenia rzucające w Grand-Cafe na każdego obcego przybysza. Pamiętam malujące się lęk na twarzach, ilekroć zagraniczny gość próbował nawiązać z kimkolwiek rozmowę.

Jakoś się, Boga chwalić, pod tym względem trochę zmieniło. Nie ma już dziś prawie dnia, żeby przez Grand-Hotel nie przewinęła się jakaś obca twarz. Ba, już łodzianie nie są przestraszeni, przeciwnie chętnie podjeżdżają z nimi rozmowy i kontakty, słowem — kochamy się z zagranicą.

Właśnie — dałoby się coś nieco na ten temat powiedzieć. Lecz zostawmy te intymne sprawy, dość niedyskretnie zatłwane w foyer Grand-Cafe, a przejdźmy do rozmów, które niemniej często ostatnimi czasami można w kawiarni usłyszeć.

Zanim jednak podśluchamy te rozmowy, pozwólcie, że opowiem wam o pewnych przygodach, które przydarzyły się w czasie pobytu za granicą zarówno mnie, jak i pewnej znajomej w kraju aktorce.

Otóż moja znajoma, młoda, bardzo utalentowana aktorka, powróciła niedawno z podróży do Paryża. Kiedy ją spotkałem i zapytałem co słychać, jak się czuje, jak się bawiła w Paryżu i jakie wrażenia przywołała — w odpowiedzi usłyszałem zdania, które w jej ustach wydobyły mi się dość niezwykle. Kleła jak szewc. Co się stało? — pytam zdziwiony.

— Wszystko, psiakość, przez ten Alger... Jaka ja głupia byłam! Co mnie właściwie obchodzi Algierczycy? Czy oni też się troszczą o mój los?

Po półgodzinnej rozmowie

i dwóch „głębszych“ dowiedziałem się o co chodzi.

Podczas pobytu w Paryżu zainteresował się naszą aktorką pewien wybitny, światowej sławy, a przy tym — to mi na ucho dodała — młody i przystojny jak sam Apollo — reżyser. Przyjemny flirt między dwójkiem młodych ludzi trwał szereg dni, aż któregoś wieczoru, gdy siedzieli w kawiarni na Montmartre, chłopiec roznośzący gazety podsunął im „Paris Soir“, w którym tymi czcionkami podana była wiadomość o nowym przelewie krwi w Algerze.

Nasza aktorka, jak każdy szlachetny człowiek, wyraziła oburzenie, na okrutne metody stosowane przez francuskie wojska ekspedycyjne w Algerze. To wystarczyło! Adorujący ją dotąd i rozlaćający przed nią perspektywy wspaniałej, światowej kariery — młody Francuz, jakby grom w niego uderzył. Zaczął jej wprost wymyślać, jak śmie obrażać naród francuski, niemal krzyknął, że Alger to integralna część Francji, rzucać obelżywe słowa o narodzie polskim, o ustroju socjalistycznym itd. Krótko mówiąc — przysłał tak ponętnie zapowiadającą się przyszłość i karierę. Wszystko przez ten Alger...

Tyle — nasza uzdolniona aktorka, której naprawdę bardzo współczułem. Kiedy słuchałem o tej jej parryjskiej przygodzie, przypomniało mi się, że i w czasie mojej kilkumiesięcznej podróży po świecie zdarzyła mi się podobna przygoda z pewną młodą Angielką w Londynie — z tą wszakże różnicą, że osobiście niczego sobie po niej nie obiecywałem.

Otóż zwiedziliśmy razem ponure zamczysko londyńskie, zwane Tower of London. Na każdym niemal kroku napotykalimy na ślady nie-

winnie ongiś przelanej krwi ludzkiej — ofiar samowoli królów angielskich. Szliśmy śladami katedry, który miał zwyczaj wyprzedzać więźnia, mając w rękach topór z ostrzem symbolicznie skierowanym w stronę ofiary. Zwiedziliśmy cele więziennicze, oglądaliśmy narzędzia tortur itd. Kiedy wreszcie znaleźliśmy się w tzw. Bloody Tower, tj. Krwawej Wieży, w której ongiś przez 12 lat więziony był sir Walter Raleigh i gdzie napisał słynną „Historię świata“ — nieopatrnie wyrwało mi się kilka, zresztą bardzo ogólnych zdań — o tej niechlubnej przeszłości Anglii.

Czy wiecie jak zareagowała moja znajoma Angielka? Była na mnie śmiertelnie obrażona. Nawet oczywiste fakty historyczne obrażały dumę narodową Angielki, jeśli o nich mówił obokrajowiec.

Do czego to wszystko zmierzają? Do niejednokrotnie wysłuchanych rozmów, prowadzonych przez naszych rodaków z obokrajowcami. Iż to razy zdarzyło mi się wysłuchać utyskiwania, skargi i narzekania na straszne stosunki w naszym kraju, na braki takie i owakie, iż to razy słyszałem pogardliwe zdania wypowiedziane do obokrajowców o rządzącym u nas plebsie itd.

Wierście mi, że jestem bardzo daleki od jakiegokolwiek szowinizmu, czy też chęci upiększania lub zamykania naszej rzeczywistości. Ale, na miłość Boską, trochę poczucia godności narodowej przecież trzeba mieć.

Czy sądzicie, że wszyscy Francuzi pochwalają imperialną politykę rządu francuskiego w Algerze? Nawet nie jestem pewien, czy sam wyżej wspomniany reżyser francuski nie jest przeciwnikiem tej polityki rządu, a mimo to — popatrzcie jak zareagował wobec obokrajowca, który potępił niegodne postępowanie francuskich wojsk ekspedycyjnych. A tym obec — jowcem była wszak młoda, przystojna i utalentowana aktorka, która mu się podobala!

Czy można obgadywać i oczerniać wobec obcych ludzi własnego męża, czy też własną żonę? Słuchając niektórych naszych rodaków, oczerniających własną ojczyznę wobec obokrajowców, zawsze doznaję tego samego uczucia niesmaku, z jakim przyjmuję się obgadywanie męża przez jego własne „ślubne szczęście“.

Nasza szkoła

NONSENSY RZECZYWISTE



Dobrze znamy i doskonale pamiętamy taki okresik w naszej historii, kiedy to panował a obowiązywał następujący schemat rozmowy: „Rząd jest rządem socjalistycznym, a więc wynika z tego, że wszystko co jest dobre dla sprawy socjalizmu jest dobre dla każdego obywatela, a więc wszystko co by nie zrobił rząd — dobre jest dla każdego obywatela“.

Praktycznie wyglądało to w ten sposób, że „nie istniały“ decyzje niesłuszne i obywatel z wszystkiego winien był się radować. A więc, kiedy np. podnoszono ceny towarów, to obywateli nie tylko nie powinien być sarkac, ale „obowiązkowo“ musiał się cieszyć, uznawać aktów za dobrodziejstwo i twierdzić, że na tym wręcz zarabiał.

Pomijam tu truistyczną kwestię, czy było to wszystko uczciwe, sensowne, przyzwoite — bo bieg wypadków ukazał coś ważniejszego — było to nieopłacalne. Okazało się, że ludzie częstokroć boleśniej odczuwali fakt, że się ich oszukuje niż to, że bije się ich w jakimś tam wypadku po kieszeni. Dalej okazało się, że naród nasz — to nie dzieci, że potrafi rozumieć szereg nawet nieprzyjemnych konsekwencji, wie, że jak trzeba to trzeba, jak nie ma, to nie ma i że przy tej okazji nie tylko nie trzeba, ale i nie można robić „z tata wariata“.

Zdawało się tedy, iż metoda metafizycznych rozważań o współzwiązku między każdym krokiem władzy a szczęściem obywatela, tudzież konkretnie przejawy operowania ową metodą nuzanego w lukrze kłamstwa, odpiływały w też samą historyczną dal, co myśli zjadające Popiela, dwóch króla Stasia i wychodki premiera Składkowskiego.

To wszystko właśnie zdawało się i Belfrowi, dopóki nie przeczytał artykułu „Rzeczywistość i nonsensy“ zamieszczonego w nr 80 „Dziennika Łódzkiego“.

Abym oddać sprawiedliwość powiem, że wspomniany artykuł absolutnie odpowiada tytułowi, bo zawiera nonsensy, wyprane z wszelkiego poczucia rzeczywistości. Materią, w której się one gnieźdzą, są rozważania, dotyczące kwestii mieszkaniowej, a ściślej — omówienie ostatnich w tej mierze rządowo - parlamentarnych posunięć.

Jak wiadomo w Polsce dochód narodowy był i jest dzielony między obywateli w ten sposób, że członek społeczeństwa za swą pracę otrzymuje część zapłaty w gotówce, część zaś w postaci bezpłatnego mieszkania, opieki lekarskiej, szkoły dla dzieci, rozlicznych świadczeń kulturalnych itp. Można by oczywiście — i w wielu krajach tak się czyni — nie zmieniając ilości dóbr dawanych obywatelom, za pracę, wypłacać mu więcej gotówki, a za to kazać mu płacić za mieszkanie, opiekę lekarską, szkołę itp. pełny ekwiwalent kosztów danej usługi. Nasz system ma jednak tę wyższość nad innymi, iż stwarza możliwość ingerowania społeczeństwa w sposób kształtowania wydatków obywatela tj. zmusza go właśnie do tego, by dzieci chodziły do szkoły, by on korzystał z urządzeń socjalnych i — w miarę nikłych zresztą możliwości przydzielania mieszkań — mieszkał jak człowiek, nie zaś kosztem wyrzeczonych w wymienionych dziedzinach tylko więcej jadu i pił. To jest oczywiście.

W istniejący system wprowadza się ostatnio pewne korektury. Jedną z nich jest ustawa o placeniu wyższego czynszu za dodatkowy meubraż zajmowanej powierzchni mieszkalnej, o wpłacaniu kaucji przy obejmowaniu nowego mieszkania i reglamentacji uprawnień do bezpłatnego przydziału mieszkaniowego.

Korekturę tę przyjmujemy z pełnym zrozumieniem jej konieczności. Po prostu kwestia budowy nowych mieszkań jest naszym problemem społecznym - gospodarczym nr 1, do prostego życia zmusza nas do szukania funduszy na poprawienie istniejącej, katastrofalnej w tej mierze sytuacji, opodatkowuje się więc tych, którzy mają zno-

śniejsze warunki mieszkaniowe na rzecz tych, którzy nie mają żadnych warunków, bo nie mają mieszkania. Udemokratycznia się też system rozdziału mieszkań przydzielanych darmowo, obejmując nim tylko tych, którzy najgorzej zarabiając nie mogą ponieść tu ciężarów finansowych, wprowadza wreszcie kaucje itp.

Wraz z tą decyzją nie spada na nas żadne szczęście, nie mamy o co skakać z radości. Uznajemy jej sensowność, konieczność i mówimy — trudno.

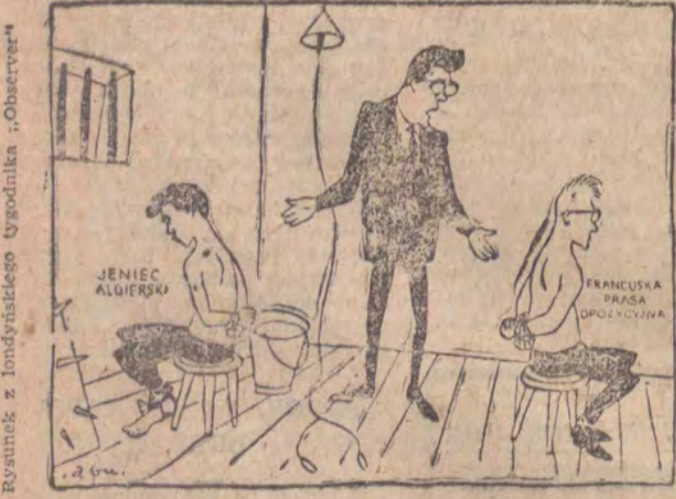
Wymawiamy przy tej okazji owo słowo „trudno“ wszyscy z wyjątkiem pana Grębowskiego. Ten krzyczy radośnie „nareszcie“ — zda się od dziecka o niczym innym nie marzył, jak o podniesieniu mu komornego. Skacząc z radości, a tańcząc z uciechy gromić więc zaczyna „miniony okres“.

„Szczególnie dał się we znaki nonsens symbolicznie wręcz niskich czynszów...“ „Drugi nonsens, to stosowna dotąd zasada darowizny w przydzielaniu mieszkań“.

Dalej mówi pan autor wiele o tym, co to za któryś tam z kolei nonsens, że tu się panie dzieje „darowało“ mieszkania, że państwo musi dopłacać do remontów, martwi się, że jak w przeszłości wprowadzony zostanie powszechny czterozłotowy czynsz za m² powierzchni mieszkalnej, to państwo — ten nieoprawny filantrop — jeszcze i tak będzie musiało dopłacać itp. itp.

No cóż — powiecie — nie denerwuj się Pelirze — jeden nadgorliwiec „przeajnował“ i tyle. Rzeczywiście! by drobiazz, ale podenerwować się trzeba. Jest to czynność społecznie pożyteczna. Bowiem tacy nadgorliwcy, którym nie uciiera się nosa, urastają w armie „obronców kochanego rządu“, a takie armie równie dobrze tworzą systemy propagandowe, jak systemy propagandowe ich tworzą. Boże! Chroni tedy rząd nasz od takich entuzjastycznie radosnych „obronców. O co się modli

Wasz BELFER



— Chcę, żeby ON przemówił, a PAN zamilkł..

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

Polityczna młocka

NA KRAWĘDZI PRZEPAŚCI

Bombardowanie wioski tunezyjskiej Sakiet Sidi Youssef przez lotnictwo francuskie zapoczątkowało nową, gwałtowną fazę walki postępowego odłamu opinii publicznej Francji przeciwko brudnej wojnie w Algerze. Oliwy do ognia dołała książka algerskiego dziennikarza Henri Allega, opisująca tortury stosowane w więzieniach francuskich na terenie Algeru wobec tamtejszych bojowników o niepodległość.

Książka Allega, oparta na własnych przeżyciach auto-

ra w więzieniu w El-Biar, wywołała we Francji wstrząsające wrażenie. Zabrała głos inna Francja, nie mająca nic wspólnego z Francją ministra — rezydenta Algeru Lacoste'a, ani z Francją oprawców z El-Biar. Zabrał w pierwszym rzędzie głos Jean Paul Sartre na łamach świetnego tygodnika „L'Express“. Artykuł swój rozpoczął od słów:

„W roku 1943 na ulicy Lauriston (paryska siedziba gestapo — przyp. W. O.) Francuzi krzyczyli z trwogi i bólu. Słyszała ich cała Francja. Wynik wojny nie był jeszcze przesądzony i nie chcieliśmy myśleć o przyszłości. Jedno wydawało nam się niemożliwe: że nadejdzie dzień, kiedy my staniemy się powodem takich okrzyków“.

Artykuł Sartre'a spowodował, że minister spraw wewnętrznych p. Bourges-Meunoury polecił skonfiskować numer „L'Express“. Nie ze wszystkimi wywodami pisarza można się zgodzić. Chwilami popada on w typowy dla filozofii egzystencjalistycznej ton niewiary w jakiegokolwiek wartości moralne człowieka. Kał i ofiara mogą z łatwością zamienić się miejscami. Kto jest oprawca, a kto torturowanym, to zdaniem Sartre'a tylko kwestia przypadku. Jednak wielki humanizm Sartre'a guszy w ogólnym rachunku te akcenty beznadziejności. Widzi on wielkość Allega, który zwycięsko oparł się męczarniom, widzi bezsilność jego oprawców.

Konfiskatę numeru „L'Express“ z artykułem Sartre'a poprzedziła konfiskata felietonu na temat wojny w Algerze, zamieszczonego w tymże piśmie przez znakomitego pisarza Francois Mauriac. W związku z tym tłumieniem głosu sztafderowych przedstawicieli postępowej opinii publicznej przez rząd, w „L'Express“ ukazał się artykuł pod tytułem „Walka za Francję“, w którym czytamy m. in.:

„Po raz ostatni i jedyny dotąd „L'Express“ został skonfiskowany 28 maja 1954 roku przez rząd Dien-Bien-Phu (był to okres kapitulacji garnizonu francuskiego w Dien-Bien-Phu w Wietnamie i nazwą tej twierdzy określa autor ówczesny rząd francuski — przyp. W. O.). Jest rzeczą naturalną i nieuniknioną, że rząd Sakiet, znajdując się w podobnej sytuacji, ucieka się do tych samych środków. Pan Laniel upadł w dwa tygodnie

poźniej, pan Gaillard upadł wkrótce...“.

Jak widzimy, mosty zostały spalane. W polemice z rządem i ze zgnaną dla Francji polityką algerską nie przebiera się już w słowach. Demokratyczne i liberalne kręgi społeczeństwa francuskiego zbliżają się w związku z tym problemem do stanowiska Komunistycznej Partii Francji, która od początku konsekwentnie popierała politykę tłumienia siłą wolnościowych dążeń Algierczyków.

W felietonie tym więcej razy niż zwykle ucieklemy się do cytatów, ale uczyniłem to świadomie, oddając głos samemu Francuzom. Uczynię to na koniec raz jeszcze, cytując głos świetnego publicysty Maurice Duvergera, który na łamach gazety „Le Monde“ pisze: „Nadal grzeznąć w polityce Lacoste'a, to znaczy prowadzić Francję ostatecznie ku upadkowi. Wiemy

już, ile kosztuje nas ta awantura. Nowoczesny sprzęt wojskowy, o którym przewidywały wszystko szefowie mawiali, że wystarczy na 10 lat, został zużyty... Masowa redukcja inwestycji (...) prowadzi do upadku naszej gospodarki. Ograniczenia swobod demokratycznych i instytucji politycznych prowadzą nasz ustrój do sytuacji podobnej do istniejącej w niektórych republikach Ameryki Łacińskiej.

Tryby piekielnej maszyny obracają się bezustannie (...). Trzeba za wszelką cenę zatrzymać ten wyścig na krawędzi przepaści“.

Nic ponadto nie można chyba dodać.

* Felieton ten był napisany jeszcze przed upadkiem Feliksa Gaillard. Okazuje się, że „L'Express“ nie pomylił się w ocenie sytuacji rządu — W. O.

odpowiedź str. 2

Tajniki wywiadów
gabinetów i wydarzeń
XX wieku

OSCAR LINDAY

POCZĄTEK I KONIEC „WIELKIEJ DROGI CESARSTWA”

Część I

ŚWIĘTA IDEA HAKKO-ISHUI TRIUMFUJE

KONCEPCJE, MITY I PLANY STRATEGICZNE. — ROOSEVELT GNIEWA SIĘ. — „DZIEŃ Y”

Zdarzenia, z którymi zapoznajemy Czytelnika w niniejszym cyklu obejmują całokształt japońsko-alianckich zmagani w II Wojnie Światowej. Pacyfik był wtedy świadkiem krwawych i najosobliwszych w dziejach wojen operacji. Przedstawiamy je Czytelnikom reportażem, opowiadaniem i relacją historyczną.

Gdyby się nawet ziemia rozpa-
[dia
Gdyby runęło niebo
Gdyby góry zmieszaly się z mo-
[rzem
Dzielne serca wiedzą, że pozostanie
[stanie tylko jedno
Niezniszczalne wieczne, czyste,
[święte cesarstwo!]

Misję Hakko-Ishui zlecił swym wybrańcom bogowie Japonii. Treścią tej wielkiej i świętej idei było „połączenie ośmiu rogów świata pod jednym dachem” — czyli, tłumacząc z symboliki magicznej, opanowanie w drodze ekspansji terytoriów leżących promieniście od pałacu cesarskiego w Tokio, w zasięgu przynajmniej kilku tysięcy kilometrów. Przy czym, oczywiście, długość „rogów” mogła swobodnie wzrastać w miarę wzrostu apetytów i możliwości. Każdy prowadzący do tego celu środek — polityczne wiarołomstwo, napaść z zaskoczenia, masowe morderstwa — był uświęcony. Już od 1904 roku, od napaści na Rosję, bogowie Japończyków pracowicie pomagali przysparzać światemu cesarstwu sukcesów i chwali...

Premier Tojo, czołowy przedstawiciel ruchu Kodo-Ha, tak zwanej „Wielkiej Drogi Cesarstwa”, japońskiej odmiany faszyzmu, miał wszelkie powody do zadowolenia. Nadszedł rok 1940. Jeden z najpoważniejszych konkurentów Japonii — Anglia uwikłana była w morderczą wojnę z Hitlerem. Drogi penetracji japońskiej w Chinach, na Malajach i w Indiach Holenderskich (Indonezja) stały otworem. Pozostawała tylko Ameryka... Na razie jednak tankowce amerykańskie co dzień przepompowywały ropę naftową na nabrzeżach japońskich portów, a transportowce wylądowywały cenne maszyny. Premier Tojo wiedział, że amerykańska polityka pragnie skierować japońską ekspansję w sycyberyjskie tundry Związku Radzieckiego. Jak długo się da, należało Jankesów utrzymywać w tym złudnym mniemaniu. Sztab generalny opracowywał jednak równocześnie plan wojny ze Stanami Zjednoczonymi. Złudzenia amerykańskie musiały mieć przecież swój kres.

Jakkolwiek japoński plan podboju nie miał przez swój rozmach precedensu w dziejach ludzkości, był on niewątpliwie bardziej realny niż plany Hitlera. Idea Hakko-Ishui, porywała masy. Sztabowcy natomiast starali się działać zgodnie z zdrowym rozsądkiem.

Na wypadek nadejścia kryzysu w stosunkach japońsko-amerykańskich, plan przewidywał następujące etapy:
— znieszenie zaskoczenia amerykańskiej Floty Pacyfiku;
— błyskawiczne opanowanie Filipin — jedynej amerykańskiej bazy umożliwiającej bezpośrednie ataki lotnicze na teren rdzennie japoński: wyspy Guam i Wake,

— utworzenie strategicznej granicy obronnej wzdłuż perymetru od północnego skraju Wysp Kurylskich poprzez Wake, Archipelag Marshalla, wyspy Gilberta i wyspy Ellis;
— skierowanie uwolnionych z operacji przeciwamerykańskiej głównych sił lądowych i morskich na Indochiny, Półwysep Malajski oraz Indie Holenderskie (Borneo, Celebes, Sumatra, Jawa);
— opanowanie Nowej Gwineji i Australii;
— zakończenie podboju Chin.

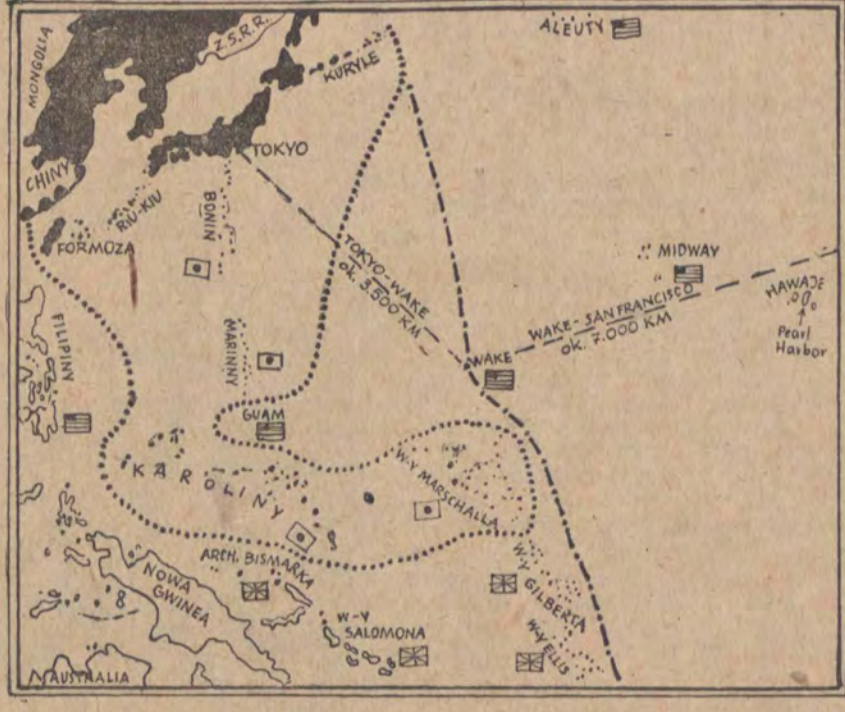
Zamierzenia te, do złudzenia przywołujące znacznie późniejszy plan Hitlera (kontraofensywa w Ardenach — zepchnięcie aliantów do Kanalu La Manche, przetrzczenie wszystkich sił na wschód itd. itd.) miały zostać osiągnięte w ciągu dwu lat. Po tym czasie zamierzano wymusić na Ameryce i Anglii korzystny pokój, zachowując pod berłem Syna Słońca²⁾ połowę ludności kuli ziemskiej wraz z jej przemysłem i zasobami naturalnymi.

Japońska flota wojenna była trzecią potęgą w świecie. Zważywszy zaangażowanie floty angielskiej i amerykańskiej na europejskim „teatrze wojennym”, mogła się uważać za bezkonkurencyjną siłę w północnych partiach Pacyfiku i Oceanu Indyjskiego. Strategiczna granica obronna na Pacyfiku opierała się na silnie umocnionych bazach połączonych z metropolią krótkimi wewnętrznymi liniami komunikacyjnymi. W ciągu stosunkowo niewielkiego czasu można było na zagrożonych kierunkach zgromadzić wielką ilość okrętów wojennych i lotnictwa. W przeciwieństwie do tego Amerykanie musieli pokonywać ogromne przestrzenie Pacyfiku, a z żadnej ich bazy nie można było osiągnąć terenów rdzennie japońskich — nawet najdłuższym lotem samolotu.

Według obliczeń japońskiego sztabu generalnego alianci mogli w najlepszym razie w ciągu dwu lat zgromadzić dostateczne siły, aby zaryzykować próbę przełamania strategicznego perymetru na Pacyfiku. W tym czasie jednak planowane podboje miały być już zakończone, co z kolei zważywszy główne siły wojenne do obrony zagrożonych obszarów. Co ciekawsze — nie brano w rachubę zwycięstwa Hitlera (stad niechęć Japonii do angażowania się w wojnie europejskiej i, pomimo największych pokus, dochowanie neutralności wobec ZSRR nawet w okresie zwycięskich marszów Hitlera). Uważano natomiast, że wojna w Europie osłabi aliantów w stopniu dostatecznym dla wymuszenia korzystnego pokoju.

Historia miała pokazać że oprócz realnej oceny możliwości Niemiec

²⁾ oficjalnie cesarz japoński otoczony był kultem religijnym jako syn bogini słońca — Tennō.



Centralnym punktem tej linii strategicznej jest wyspa Wake. Jej odległość do Tokio wynosi 3.500 km — do San Francisco natomiast 7.000 km, a więc dwukrotnie więcej. Strategiczny perimetr admirała Yamamoto ma stworzyć nieprzenikalną kurtynę, która na okres przynajmniej dwu lat odizoluje flotę Stanów Zjednoczonych od teatru wojennego w Południowo-Wschodniej Azji.

- OBJAŚNIENIA.
- — TERENY RDZENNIE JAP. POŃSKIE, LUB UŻYSKANE W DRODZE PODBOJÓW PRZED 7-12-1941 R.
 - — POSIADŁOŚCI JAPONSKIE NA PACYFIKU
 - — POSIADŁOŚCI U.S.A.
 - — POSIADŁOŚCI ANGLII
 - — GRANICE JAPONSKICH POSIADŁOŚCI MORSKICH NA PACYFIKU PRZED 7-12-1941 R.
 - — STRATEGICZNY PERYMETR ADMIRAŁA YAMAMOTO.

hitlerowskich, wszystkie pozostałe rachuby militarystów japońskich były stanowczo zbyt optymistyczne.

ROOSEVELT GNIEWA SIĘ

Tymczasem ożywiona wymiana handlowa między Japonią i Stanami Zjednoczonymi nie doznawała żadnych zakłóceń. Chociaż coraz częściej japońskie transportowce płynące na Hawaje i do Kalifornii przewoziły na swych pokładach specjalnych emisariuszy oddziału wywiadowczego sztabu generalnego, to japońska dyplomacja w głębokich ukłonach niezmiennie zapewniała Waszyngton o serdecznych uczuciach przyjaźni na gruncie dobrze pojętego wzajemnego interesu.

Opinia publiczna Stanów Zjednoczonych była jednak krańcowo odmiennego zdania. Zewsząd podnosiły się głosy protestu przeciwko ślepej i zbrodniczej polityce wielkiego kapitału, który w pogoni za zyskiem umożliwia Japończykom kontynuowanie agresji na Dalekim Wschodzie.

W tej sytuacji prezydent Roosevelt, autor koncepcji „Nowego Ładu”, opartej na szerokiej masach demokratycznych, musiał zająć określone stanowisko.

W czerwcu 1941 r. zarządził embargo (zakaz wywozu) na wszystkie surowce i produkty typu strategicznego eksportowane do Japonii. Embargo obejmowało przede wszystkim ropę naftową — surowiec strategiczny, którego brak zawsze odczuwała gospodarka japońska.

Od tej chwili japoński sztab generalny wkroczył w fazę gorączkowych przygotowań do wojny ze Stanami Zjednoczonymi.

Główne siły amerykańskiej Floty Pacyfiku stacjonowały w hawajskim porcie Pearl Harbour. Rów-

niez na lotniskach hawajskich znajdowała się znaczna większość sił lotniczych Pacyfiku w liczbie około 500 samolotów.

Wykorzystując tak wielkie zgromadzenie podstawowych sił wojennych na stosunkowo małej przestrzeni, Japończycy postanowili zniszczyć je nagłym atakiem zaskoczenia. Przy równoczesnym zdobyciu Filipin dawało im to możliwość stworzenia nieprzenikalnej linii strategicznej, będącej punktem wyjścia dalszych agresywnych poczynań.

W przeciwieństwie do tego Amerykanie, pomimo posiadania klucza do ściśle tajnych szyfrów japońskiego ministerstwa spraw zagranicznych, dzięki czemu na czas ostrzeżenia byli przed zbliżającym się kryzysem³⁾ nie podjęli prawie żadnych kroków obronnych. Świśle przekonani, że Japończycy nigdy nie porwą się zbrojnie na takie mocarstwo przemysłowe, jakim są Stany Zjednoczone, zaniedbali najbardziej elementarnych środków ostrożności. Zlekceważyli nawet umocnienie Filipin — najbardziej na wschód wysuniętego bastionu, niezbędnego do prowadzenia jakichkolwiek skutecznych działań przeciw Japonii.

„DZIEŃ Y”

Z końcem października 1941 r. japoński sztab generalny dysponował już kompletnymi danymi z rozpoznania wywiadowczego. Z prywatnych samolotów, jakie mieli prawo posiadać obywatele amerykańscy, szpiedzy dokonali zdjęć obszarów strategicznych — portu wojennego i baz lotniczych na Hawajach. Wszystko wskazywało na słusność pierwotnych założeń — Flota Pacyfiku skupiona była na tak małym terenie, że plan błyskawicznego jej zniszczenia sam się nasuwał.

Już w początkach listopada usta-

lono dokładny termin ataku: rano, niedziela, 7 grudnia 1941. Zaszifrowano go pod kryptonimem „Dzień Y”.

Wszystko pomyślane było z szatańską precyzją. Wybrano niedzielę, ponieważ zgodnie z tradycjami weekendowymi wszystkie jednostki przebywały w tym czasie w bazie, a większość załóg zżywała wywczasów.

5 grudnia, po nałożeniu drogi ogromnym lukdem, ku Hawajom zbliżała się od północy, od strony amerykańskich wysp Aleutów, flota agresora. Jej trzon stanowiło sześć potężnych lotniskowców z 450 samolotami, głównie torpedowymi i nurkującymi.

Dowódca jej — admirał Nagumo — wiedział, że wszystko zależy od zaskoczenia. Gdyby bowiem Amerykanie zostali na czas powiadomieni o zamierzonym ataku, gdyby zdołali wystartować amerykańskie myśliwce — całe przedsięwzięcie musiało się zakończyć śmrotną klęską. Powodzenie dalszych operacji, powodzenie całej wojny, dalsze losy „Wielkiej Drogi Cesarstwa” zawisły od tego jednego ataku... Niechaj zobrazuje to wysokość stawki, jaką Japończycy stawiali na jedną dołownię karty!

Atak nastąpił w ściśle oznaczonym terminie. Podczas zaledwie 50-minutowego nalotu samoloty japońskie zniszczyły, lub poważnie uszkodziły prawie całą Flotę Pacyfiku. Poszły na dno wszystkie wielkie jednostki wojenne — sześć potężnych pancerników, chluba amerykańskiej marynarki wojennej, każdy przewyższający tonażem całą polską przedwojenną flotę. Ogromna większość samolotów zniszczona została na lotniskach.

Zaskoczenie się udało. Kości zostały rzucone... c. d. n.

³⁾ por. broszury „Zagłada Pearl Harbour” i „Konkuzje — lotnicze śmiertelki”.

SPRAWY MORSKIE NAD JEZIOREM GENEWSKIM

(Ciąg dalszy ze str. 3)

ZA WOLNOŚCIĄ MORZA PEŁNEGO

W drugiej komisji — poświęconej reżimowi prawnemu morza pełnego — dyskusja posiada charakter stosunkowo bardziej pryncypialny i ogólny, nie pozbawiony jednak związku z życiem. W zasadzie wszyscy prawie wypowiadają się za wolnością morza pełnego, inaczej jednak tę wolność interpretują. Czy ma ona oznaczać tylko wolność żeglugi, czy także równouprawnienia w zakresie rybołówstwa? Czy ma oznaczać tak-

że swobodę np. dokonywania eksperymentów z bronią atomową, swobodę zanieczyszczania wód morskich odpadkami substancji węglowodorowych wzgl. materiałów radioaktywnych?

Czy wolność morza ma być równoznaczna ze swobodą nieograniczoną państw w przyznawaniu statkom prawa do bandery, czego następstwem jest dziwne zjawisko, że w statystyce floty światowej wśród państw z największym tonażem figurują Panama i Liberia, które to państwa chętnie rejestrują jako własne statki zagraniczne, których właściciele ze względu na ciężary socjalne na-

kazane ustawami własnego kraju — wolą rejestrować swe statki gdzie indziej?

KTO MA REGLAMANTOWAĆ POŁOWY

Trzecia komisja debatuje nad kwestiami rybołówstwa. A jest ich wiele i niemałe posiadają znaczenie. Rozwój techniki ułatwia w wysokim stopniu rybołówstwo i polowanie na morzu, ale też w wysokim stopniu zagraża wyniszczeniu określonych gatunków ryb i zwierząt. Nowoczesne „fabryki łowiące i polujące” wymagają nadzoru. Nadszedł czas, by przewidzieć na morzach świata, będących poważnym rezerwuarem żywnościowym, racjonalną gospodarkę, podobnie jak wewnątrz państwa cywilizowanych prowadzi się od dawna racjonalną, uregulowaną prawem, gospodarkę rybną na

(Dokończenie na str. 4)

¹⁾ bojowa pieśń japońska.

O MAJTECZKI na pośladku łęczyckiej dziewczki...

Dwudziestego trzeciego października 1955 r. ośmielono się obwieścić miastu Łęczycy o istnieniu Klubu Młodej Inteligencji.

— To granda — pienia się częściej w zetempowców. — Inteligencję trzeba ostro, w cuglach! Za dużo sobie pozwalali! Słowa o klubie były jednak wydrukowane (i to w organie ZMP), a co wydrukowane to się już liczy. Oto fragment artykułu prasowego na ten temat.

„...Jest nas tu w Łęczycy spora grupa. Kilku dziesięciu młodych inteligentów... Są tacy, którym przydzielono mieszkanie, umeblowali się, zasiedli do bridge'a i siedzą tak co wieczór. Kończy się to zwykle kłótkoma „głębszymi”. Powtarzają się poranny „katzenjammer” doprowadza szybko do atrofii... Jest kilku, co biegają nieczym zwierzęta dzikie w klatce, odbijając się raz po raz o chłód kraty, o obojętność na sprawy inteligenta, o oportunistów kolegów...”

Do się zmieniło w sytuacji młodego inteligenta z Łęczycy przez tych trzydzieści miesięcy? Zdaje się — niewiele. Może nawet pozostało mniej tych, co usiłują się jeszcze po klatce partycypularza młotać. Autor cytowanego artykułu, zarazem współtwórca jednego z trzech pierwszych klubów młodej inteligencji w Polsce zmuszony był emigrować z Łęczycy (nagle zabrakło pracy), drugi przywódca klubu — inż. górnik Mariusz Moj też się „wykruszył” (tego znów jako bardzo krytycznego umyślił się znowelizować CZ), wreszcie Józef Lach uciekł z Łęczycy zaszczytując „październik” (przez dyrektorów, którymi długo zajmował się prokuratorem i osiadł w Zabrze. Józef Lach prowadzi tam teraz wspólną „robotę”, a o jego specjalności — starodrukach świadczą o

polskości Śląska, czytaliśmy już wiele pochwał w śląskiej prasie.

Z tych co pozostali, szamocze się jeszcze były prezes klubu Wacław Marynowski, zajęty z konieczności harcerstwem i Stefan Pełka, kontynuujący zespół z nieklubowcami — Janem Kurasinikiem i Mieczysławem Cieniakiem — miejscowy miesięcznik „Ziemia Łęczycy”.

A ci inni dalej „pryskają” do wielkich miast, dalej zabrydżają swoje życie, dalej zmierzają coraz to „głębszymi” do atrofii. A kulturę robi się przecież grupowo. To musi być ruch społeczny, ożywienie zapładniające, zapalające innych, całą grupę. Tak, dobrze się działo w łęczyckiej kulturze jeszcze przed rokiem, przed naturalną, acz wygwalczoną śmiercią, ruchu klubowego. Bo to był ruch. Młody, pełen impetu, nie wymuszany a samopodny i... rodzący „myślenie”. Klub Młodej Inteligencji w Łęczycy dokonał swego żywota. Zwalczano go kiedyś, a dziś mówi się o nim — „Szkoda, że przestał istnieć...”

P przed dwoma tygodniami sprawa tego najżywciejszego klubu w naszym województwie wyłoniła się przypadkiem na egzektuście Komitetu Powiatowego PZPR w Łęczycy. Zaczęli o nią sekretarz KW tow. Muszyński, wielki zresztą entuzjasta i przyjaciel klubu.

— Łatwiej było zlikwidować klub niż pracować w nim — powiedział podobno do sekretarza KP.

Władze łęczyckie dotkliwie odczuły brak klubu a i społeczeństwo poniekąd także.

— Zawsze było o kim popletkować — wyduchał niejedyn kulturo-piskorezyk*.

Inni żalują wreszcie doskonałych choć drogiej zabaw tanecznych.

(Dokończenie na str. 8)

* tak nazywano ongiś Łęczycan.

Chciałem mówić na temat sztuki nowoczesnej i partii. Nie mam zamiaru przedstawiać konfliktu nowego dzieła, a la Andrzejewski „Pisarz i partia”, nie chcę z nim rywalizować, zresztą sądzę, że jedno takie dzieło wystarczy. Powszechne jest dzisiaj przekonanie, że partia w sprawach estetyki wzbrania się od zabierania głosu. Partia nie chce doradzać pisarzowi czy malarzowi. Dając im swobodę twórczą, uwzględniając ich specyficzne i

rzeczywistości należy stanowczo zaprzeczyć. Nikomu nie zagraża niebezpieczeństwo, nikt nie czeka na mistrza, który by zaklął sztukę nowoczesną i zapędził ją w impas obcych jej rygorów, odgórnie, urzędowo i arbitralnie. Nie ma również, jak sądzi, społecznego zapotrzebowania na nową wyrocznię. Minister Zółkiewski, jak sądzi, miał już swój okres „szturmu” i „drangu” w okresie „Kuźnicy”, a nawet znakomity erudyta i dialektyk prof. Stefan Morawski wykładający ongiś

cepcji sztuki astrakcyjnej i asocjacyjnej (skojarzeniowej). Wydaje mi się, że nie jest to nurt plebejski w tym znaczeniu tego słowa, jak na przykład rozumiemy nurt plebejski w literaturze XVII-wiecznej. Nie jest on izolowany, nie umartwia się bynajmniej na bocznych torze rozwoju sztuki, przeciwnie wewnętrznie i nierozdzielnie tkwi w jej głównym nurcie. Oto wdzięczne zadanie dla estetyków: dostrzec ten nurt i określić go.

Bo cóż oznacza prowincjonalny cykl wierszy Białoszewskiego, czymże jest jeśli nie nowoczesną szpelenizacją plebejskiego folkloru?

Ileż mądrości widzenia ludowego podniesionego do rangi wyżyn sztuki nowoczesnej, kryje się w wierszach Aleksandra Wata, Tymoteusza Karpowicza, a jeśli chodzi o nasz rodzimy teren, o Łódź, to ileż szlachetnej plebejskości oczyszczono do grudek kruszczonej sztuki astrakcyjnej znaleźć w obrazach malarzy łódzkich i w wierszach wielu łódzkich poetów.

Jak to? Widzenie plebejskie w sztuce astrakcyjnej, w odległych skojarzeniach, wykluczających pośrednie człony logiki artystycznej? Tak. Wydaje mi się, że należy go szukać:

- 1) w programowo naiwnym — często — widzeniu świata, przy całej złożoności formajnej dzieła,
- 2) w dużej porcji zdrowej ironii pochodzenia plebejskiego,
- 3) w ładunku racjonalistycznym,
- 4) w oibrzymim, słusznym kredycie zaufania udzielonym odbiorcy, w wierze w jego zdolności konkretyzacji i poprawnego odbioru.

Socjologia sztuki ma bardzo wdzięczne zadanie przed sobą. Czy istotnie klasa robotnicza skazana jest na malarstwo naturalistyczne, i czy naturalne zapotrzebowanie młodej robotnicy na mowę wiążaną spełnia uliczny sprzedawca powielanych piosenek? Bez przesady! Chodzi o to, że głęokim sensem naszej polityki kulturalnej jest budzenie artystycznych potrzeb w klasie robotniczej, wychowanie konsumenta sztuki nowoczesnej, konsumenta bez matyry, bez studiów plastycznych. Nie wydaje mi się, abyśmy musieli najmłodsze pokolenie przeprowadzać przez czyskie naturalizmu, chociaż czasem ucho- dzi to u nas za niezbyt pewnik.

Tak rozumiem plebejskość sztuki nowoczesnej. Osobiście nie rzuciłbym zakładać z góry, że robotnik jest prymitywniejszy, jeśli chodzi o odbieranie sztuki, od inteligenta. Nie zapominajmy o tym, że proces odbioru dzieła sztuki, obrzu czy wiersza jest procesem psychicznym złożonym, że nie jest, jak by to chcieli niektórzy, warunkowany konieczną znajomością rachunku różniczkowego czy teorii filozoficznymi Leibniza. Prosty człowiek jest zdolny do przeżyć sublimowanych, jest zdolny do odbierania trudnej sztuki, mimo że nie zna historii malarstwa i perypetii poezji rolniczej i europejskiej ostatnich 50 lat. Nie trzeba robotnikowi wmawiać, że wystarczy dla jego potrzeb intelektualnych tylko „Express” i „Karuzela”.

Nie olecdruk, ale twórcze, pobudzające do myślenia kojarzenia, rozwijające fantazje dzieło sztuki ma przyszłość. A przecież plebejskość, fantazja ludowa, ironia i racjonalizm prostego człowieka jest dziś poszerzony o jego naukową „wiarę” w obcowanie kosmosu, a więc element, który jeszcze wczoraj miał wszelkie cechy magiczności, astrakcyjności, ba bluffu!

Są szanse dla twórców w nowoczesnym traktowaniu motywów plebejskich, w hierarchizacji artystycznej folkloru plebejskiego.

Partia nie jest uczniem czarnoksiężnika i nie jest zagroźona przez sztukę nowoczesną. Wyzwolone żywoty artystyczne to dobre żywoty. Pozwolą one szaremu, prostemu człowiekowi dojrzeć całe piękno świata i „subtelne igraszki umysłu ludzkiego”.

CZY PARTIA JEST UCZNIEM CZARNOKSIĘŻNIKA? IERZY WALEŃCZYK

odrębne cechy duchowe, mając ambicję raczej patronowania i mecenasowania znalazła się z pozoru w sytuacji przypominającej anegdotę z ballady Goethego „Uczeń czarnoksiężnika”.

Otóż ów uczeń czarnoksiężnika po długim terminowaniu posiadał tajemnicę wyzwalania żywołów. Posiadając formułę zaklęcia, postanowił spróbować swoich sił i zadziałał czarnoksięsko niezależnie od swego mistrza. Pewnego dnia pozostawszy sam w laboratorium, orientując się, w jakichsi butlach są zaklęte magiczna żywoty, wyzwolił je. Wyzwolone zaczęły się mnożyć i zagrażać biednemu uczniowi. Uczeń czarnoksiężnika nie zadbał o formułę, która by magicznie położyła kres ich mnożeniu się. Pojawienie się mistrza uratowało sytuację. Znał on bowiem formułę, która zapędziła niesforne żywoty w kąty laboratorium.

Takiej analogii, dalekiej od

ABC estetyki marksistowskiej milczy.

Czy znaczy to, że sztuka nowoczesna zbliża się do ideału czystej sztuki, sztuki dla górnych 10 tysięcy, czy znaczy to, że zaleca przykazanie „Panie Boże, wybacz mi głupotę rodziców moich”?

Wydaje mi się, że pewna rezerwa szeregowych działaczy partii wobec sztuki nowoczesnej pochodzi z winy estetyków marksistowskich, którzy nie kwapią się (a właściwie gdzie oni się pochowali) dostrzec pewnych istotnych zjawisk sztuki nowoczesnej, a przede wszystkim poezji i malarstwa. O jakież to zjawiska chodzi? W sztuce nowoczesnej (porzućmy termin awangardowej, jako że jest on poważnie obciążony wiekiem i przyproszony siwizną) pulsuje bardzo silny nurt plebejski, będący zastrzykiem zdrowego, racjonalistycznego widzenia świata w kon-

SPRAWY MORSKIE

Dokończenie ze str. 3

wodach wewnętrznych i gospodarkę łowiecką w lasach. Wszyscy są zgodni co do zasady. Ale jak to zrealizować, kto ma reklamować połowy? Czy i w jakim stopniu mają to czynić państwa nadbrzeżne w odniesieniu do obszarów przyległego morza? W grę wchodzi tu interesy ekonomiczne wielkiej wagi. Tak np. delegaci państw Ameryki Łacińskiej i na Pacyfiku pretendują do reklamowania rybołówstwa niemal do połowy Pacyfiku, uzasadniając w długich naukowych referatach, że posiada to dla nich podstawowe znaczenie nie tylko dlatego, że rybołówstwo musi stanowić podstawę wyżywienia ich ludności (że dotychczas się odżywiającej), ale również dlatego, że w cyklu biologicznym wyniszczenie ryb spowodowałoby wyniszczenie płacztwa morskiego, a to z kolei oznaczałoby brak guana, czego rezultatem byłby upadek rolnictwa w tych krajach. Oczywiście, że delegacje krajów tradycyjnie morskich, posiadających floty rybackie, łowiące daleko od swej ojczyzny — nie łatwo godzą się na jakiegokolwiek ograniczenia w połowach na morzu pełnym.

PROBLEM PACZNACY NAFTA

Czwarta komisja zajmuje się nowym zagadnieniem — prawem do eksploatacji tzw. szelfu kon-

tyntalnego, czyli dna morskiego, w specyficzny sposób ukształtowanego. Obrady mają tu również niemałe znaczenie gospodarcze, ponieważ pachnie tu ropą naftową. Nowoczesna technika pozwala eksploatować ropę naftową spod dna morskiego niezbyt głębokiego: ogromna większość państw zgadza się co do tego, że prawa do eksploatacji takiego dna należy — pod pewnym warunkiem — zastrzec dla państwa nadbrzeżnego. Toczą się jednak spory o zakres tego prawa i sposób jego wykonywania m. in. czy eksploatacja dna obejmuje także wyłączenie połowów ryb dennych i różnych organizmów (skorupiaków) przytwierdzonych do dna.

SZWAJCARIA PAŃSTWEM MORSKIM?

Piąta komisja poświęcona jest prawom państw nie posiadających wybrzeża morskiego. Jest takich państw kilkanaście w różnych częściach świata: Boliwia, Nepal, Afganistan, Austria, Szwajcaria, San Marino, Luksemburg, Państwo Watykańskie, a z krajów socjalistycznych — Czechosłowacja, Węgry i Białoruś. Chodzi w tej komisji o sformułowanie pewnych reguł prawnych, dotyczących praw tych państw na morzu, w portach oraz w zakresie tranzytu do portów. Sytuacja tych krajów jest nader różnorodna. Tak np. z dyskusji wynika, że Afganistan jest wyraźnie zdyskryminowany przez sąsiedni Pakistan i posiada niewiarygodnie trudności komunikacyjne. Natomiast Szwajcaria jest zupełnie zadowolona ze swego losu, posiada już pokazną, własną flotę handlową

morską, w ostatnich latach dorobiła się nawet małego kodeksu morskiego i jej delegat na konferencji oświadczył, że właściwie Szwajcaria jest państwem morskim, ponieważ Ren jest dla niej „fiordem”, a obroty portu rzeczno-ego w Bazylei przewyższają obroty wielu portów morskich.

Problemem wspólnym dla różnych komisji jest dostosowanie prawa morskiego do nowych warunków technicznych i ekonomicznych. Wiele przepisów istotnie się przeżyło, ale czy należy stąd wyciągać wnioski, że wolno odstąpić od starych zasad i że decydując ma faktyczny układ sił na morzu? Stąd występują tendencje do przeciwstawienia się nadmiernej „modernizacji” prawa morskiego i stwierdzania postępowego charakteru niektórych starych zasad. Według obrazowego określenia jednego z delegatów państw azjatyckich — niektóre stare zasady, jak np. zasada wolności morza, są wiecznie aktualne, podobnie jak Dziesięcioro Przykazań i przepisy Koranu.

SENSACJA, DYPLOMACJA, ODPOWIEDZIALNOŚĆ

Konferencja z natury rzeczy posiada charakter polityczny. Ale powiązania polityczne przeplatają się tutaj — przy składaniu oświadczeń — z konkretnymi nakazami geografii i biologii. Państwa najbardziej zaprzyjaźnione polemizują często ze sobą np. w sprawach rybnych, ponieważ jedno z nich posiada wody w pobliżu swych brzegów zasobne w ryby i chciałoby zatem zastrzec dla siebie wyłączność połowów, a wody drugiego państwa są bezrybne i rybacy tego kraju dokonują połowów w pobliżu obcych brzegów.

Siedmioosobowa delegacja pol-

ska, w skład której wchodzi 4 profesorów, uczestniczy aktywnie we wszystkich komisjach. Nasze zainteresowania sprawamiorskimi są z natury rzeczy duże i różnokierunkowe.

Jakich wyników należy oczekiwać od konferencji? Za wcześniej jeszcze zapewne, by można dać odpowiedź na to pytanie. Obrady są w pełnym toku, państwa zmieniają stanowisko widząc nierealność swych początkowo zajmowanych stanowisk. Tak np. sensacja ostatnich dni było oświadczenie delegata brytyjskiego, który jeszcze w pierwszych dniach obrad konferencji zdecydowanie bronił zasady 3 mil morza terytorialnego, a obecnie wypowiedział się za 6-milowym pasem tego morza. Takich niespodzianek może być więcej.

Stara maksyma dyplomatyczna głosi, że trzeba mieć zasady, ażeby móc z nich ustępować. Obecnie jedno tylko można stwierdzić. Nie dojdzie do porozumienia w zakresie najbardziej istotnych spraw oznaczałoby zaostrezenie sytuacji i pomnożenie konfliktów na ważnym politycznie i ekonomicznie odcinku morskim. Oznaczałoby z punktu widzenia rozwoju prawa międzynarodowego — fiasco od ośmiu lat przygotowywanej przez ONZ pierwszej po wojnie wielkiej konferencji poświęconej kodyfikacji prawa międzynarodowego. Poczucie odpowiedzialności, ciążącej w tym zakresie na Konferencji znajduje nieraz wyraz w dyskusji i być może ułatwi dojdzie do porozumienia między delegacjami reprezentującymi państwa o różnorodnych i sprzecznych interesach, jak również o odmiennych dążeniach politycznych.

REMIGIUSZ BIERZANEK

Z tramwajów zwisają „kiście winogron”. Pieszko, autobusami, tramwajami, taksówkami, każdy kto ma choć trochę serca dla piłki nożnej, za wszelką cenę pragnie dostać się na stadion przy Al. Unii. Mówią, że tramwaj nie jest z gumy, ale to tylko głupie przesady. Jeszcze i dla nas znajdzie się miejsce...



Zdjęcia: ARSEN

Tekst: MAREN

D Z I Ś G R A Ł K S !



Tasiemcowe kolejki przed kasami wcale nie odstrasza wielotysięcznych tłumów zakochanych po uszy w chimerycznej ŁKS-u

Można i tak, ale czasem zdarza się, że zamiast na stadionie, amator „kawalerskiej” jazdy ląduje w szpitalu, a przy odrobinie pecha na... cmentarzu



Szczęściarzu! Udało mu się kupić bilet bez kolejki



O włos i byłby gol, ale udana interwencja bramkarza przeciwnika przeszkodziła w zdobyciu bramki przez Barana

Wejście tylko dla wybranych



Miny kibiców mówią za siebie. Celny strzał Sopotka i piłka trzepoce w siatce. 30 tys. gardzieli krzyczy w niebogłose. Czapki i kapelusze lecą w górę. Na trybunach szal radości



Nie wszyscy jednak emocjonują się przebiegiem meczu. Te dwa urocze „kociaki” pokazują sobie zdjęcia swoich adoratorów i wyglądają na to, że zapomniały o bożym świecie



To nie scena z filmu pt. „Skandal w Clöchemerle”, lecz migawka z przerwy meczu ligowego. Podobno gospodarze stadionu mają zainstalować urządzenie, które umożliwi grę w piłkę przy sztucznym świetle. Pomysł bardzo budujący, ale przedtem należałoby postawić... szalety



Koniec meczu. Legenda o „uchu igelnym i wielbłądzie” staje się rzeczywistością. Tak wygląda wyjście z trybuny „A”

Gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą. Staszek Baran gra zawsze ofiarnie i nie boi się ostrych starć z obroną przeciwnika. Jednakże tym razem można rzec: nosił wilk rądy kilka — ponieśli i wilka

str. 5

odgłosy



JAROSŁAW MAREK RYMKIEWICZ

wiadomo, w jednym z najbliższych zeszytów „Dialogu“ ukaze się mój nowy dramat poetycki „Odys w Berdyczowie“.

— Już się ukazał. A nad czym pan obecnie pracuje?

— Nad dramatem. Tym razem będzie to zapewne rzecz pełnospektaklowa, pisana wierszem. Trudno mi na razie powiedzieć o tym cokolwiek więcej. Może jeszcze tylko tyle, że tym razem chciałbym zaangażować się w spory polityczne współczesności.

— A jakie ma pan dalsze plany?

— Planuję na przyszłość? Moje wielkie marzenie: stworzyć w Łodzi kłik lub koterię — jakich wiele w Polsce — która miałaby na celu nie tyle może reklamę „swoich ludzi“, ile niszczenie „obcych“. Jeśli takiej kłiki nie uda mi się stworzyć, to przynajmniej chciałbym zacząć partycypować w zyskach jednej z kłik już istniejących.

— Wydał pan ostatnio zbiorek wierszy „Konwencje“ w Wydawnictwie Łódzkim. A co w najbliższym czasie?

— Nie, w najbliższym czasie nie wydaję drugiego tomu. O ile mi

DO EMIGRANTA

Nie wiem, kim jesteś. Twarz zmieniona
Przez błysk magnezji i nazwisko.
Pozwól, na chwilę wrócę w strony,
skąd wspomnień zimny fosfor pryska,

Lat tamtych dzisiaj nie pamięta
Ten, kto nie zajrzy do albumu.
Ręka kurz zetrze w przeddzień święta,
Lecz nie przywoła zmarłych tłumu.

Tam, w białym dworku, płomyk mały
Pelzał, mebelki objął śliczne,
Genealogii drzewo stało
W ogniu historii patetycznym.

Aleję świerków, czerwień kortu,
Nad falą Narwi ciała smagle
Jak świeczki dzieciennego tortu
Zagasił wiatr zapomnień nagły,

Któż zechce wrócić? Ten kraj biedny,
Pod krzykiem ptaków rozciągnięty,
Nie wart jest pewno łezki jednej.
Przyfarbowanej w myśl konwencji.



Któż z nas pomieści w małej dłoni
Nietrwale ciepło gniazd człowieczych,
Które przebiegłe wiatry gonią
Pod błękit okrutnego wieku.

W retortę dziejów, gdzie zmieszano
Sejmiki, pamflet jakobinów,
Czternastolatków świeże rany,
Czyż muszą trafić nasze czyny?

Ponad stokrotki, malwy, maki
Zakwitał wybuch atomowy.
Nie zechce zmieniać świata szlaków
Kto dba o swoich nerwów zdrowie,

Prace czekają cię rozliczne:
Z kamyków i muszelek twierdzą
Zbuduj na plaży atlantyckiej
I spocznij, utrudzony wielce.

Zycie tak kruche, ton muszelki.
Twierdzą twą burzy fala groźna
I muszlę rzuci w głębię wielką,
Lecz może sekret wieku poznasz.

Zbyteczny powrót. Sleeping nocy
Lub okręt wrzących oceanów
Niesie cię dalej. Wieje w oczy
Wiały subiektywny, mnie nieznan.

Już tryska kielkująca gwiazda.
Turysta świata, bez paszportu,
Widzi ją z bocianiego gniazda
Nad progim spokojnego portu.
Zegnaj, daleki. Bądź szczęśliwy
W Paranie lub nad Deleware.
Nie dla mnie egzotyczne dziwy
I czas mi słuszną ześle karę.

Pod Kontynentu żyrandolem
W mego narodu ciemne skargi
Chcę sączyć drwiny alkohole,
Być może, godny twej pogardy.



OSTRZEŻENIE

Ząb mrówki, tysiącleci pałac budujący,
Jedwab twej skóry zmieni w łuskę suchej kory,
Przetnie trefione włosy i powieki drżące
I sięgnie źródła pulsu pod bransolet wzorem,

Ządła, nogi pajaków i metal jaszczurek
Z rozprysniętą tęczówką i sexu sekretem
Zostaną przemieszane w podziemiach natury
I spłoną w błysku centrum zielonej planety,

Nim potężnych demonów okrutne zabawy
Sprawią, że nieświadoma, wyrośniesz żdźbłem trawy,
Lub zatrzepoczesz skrzydłem — ostrzegam cię, płocha!

Twój szepc trwa tylko chwilę w doczesności chórze,
Więc nim oddasz swe drzenie korzeni strukturze,
Moim dłoniom je powierz i mnie zechciej kochać,



EWA czyli BELINDA

To jest Ewa. W pierścieniu trzepoczących rzęs

Oczy są diamentami, ceła płatkiem róży,

Jej piękność jednym

włoskiem prowadzi świat cały.

Ewa, czyli Belinda. Klamra u jej sukni

lamie promień, jest klamrą zetlałej tkaniny.

Zatraskującą pamięć epok spopielałych.

To prawda, chcemy mijąć poprzez płynne lustra,

By nas witały wieki żartami wachlarzy,

Aibo długim szeregiem pudrowanych peruk.

Tam krok tańca misterny pod skrzydłem Ariela

I dłoń wieje chusteczką wzruszeń koronkowych,

Lecz to samo jest znamię i ciepło rodzaju.

Pryska lustro. W głąb ziemi schodzi strumyk pulsu.

Pajak jest architektem, snuje gwiazdę czasu.

W obrotowych drzwiach świata któż z nas się zatrzyma?

Ewa, czyli Belinda. Więc samotność losu,

Gdy czule żądla sylfów śpią w kropli eteru.

Pukiel poema niesie wiatr zmiennych kierunków.

Ilustrował JÓZEF SKONIECZNY

HELENA DUNINÓWNA

HELENÓW

Ze starych kronik

Piękne, pielęgnowane drzewa, cieplarniane rośliny, kwieciste, starannie utrzymywane klomby, dwa wielkie stawy, w których tak wesoło pluskają się w słońcu roje zwinnych rybek, sztuczny wodospad, basen z

wodotryskiem, łódzie na stawie, cieplarnia, efektowna grotta stalaktytowa, zwierzyńiec, a w nim ciekawe okazy dzikich zwierząt (na pewno są jeszcze w Łodzi tacy, którzy pamiętają z czasów swego dzieciństwa wielkiego, tresowanego szympansa w oszklonej budzie,

wyprawiającego harce ku ucieście tłoczących się widzów w same święta Wielkiejnocy w 1901 czy 1902 roku) — oto uroki Helenowskiego parku.

Wszystkie? Nie, nie wszystkie.

Bo oto jeszcze dla amatorów sportu: „plac do lawn tennis“, „wielki do wyścigów cyklonowych“ i duża „bieżnia dla grających w piłkę, to jest w foot ball“.

I znów jeszcze: nie wszystko. Park bogatej burżuazji, z wejściem słono płatnym, udaremniającym wtargnięcie lada jakiej „holoty“, park dla „dobrze ubranych“ — „letni salon Łodzi“...

A więc — jeszcze doskonała, elegancko urządzona restauracja z wielką werandą, z której widok obejmuje nie tylko długą, srebrzystą wstęgę stawu, nad którym budynek restauracyjny wzniesiono, ale i dalekie, w cieniach szmaragdowych zagubione „perspektywy parku... I cukiernia, znakomitego cukkermistrza“ posiadająca i tam, w górnej części ogrodu, zasobna w smakowite, sielskie smakołyki — mleczarnia. Wielkie sale restauracji pomieścić mogą ponad tysiąc osób i w razie niepogody niezwykle oddają usługi.

„W niedziele i święta — pisze w 1904 roku Stefan



Ilustrował JÓZEF SKONIECZNY

ŻYCIE BEZ ZŁUDZEŃ

Dokończenie ze str. 1

mu rodzimych warunków — obiektywnych i subiektywnych. Owszem, te warunki czyli przyczyny istnieją, ale to nie znaczy, żeby z tą nagminną modą, która przybiera postać chronicznej i groźnej choroby, nie walczyć.

Jak? Nie wiem. Ale wydaje mi się, że jedną z form walki byłoby rozbijanie mitów i legend tej mody pesymizmu i katastrofizmu, przerażających się w nihilizm i anarchię umysłową i obyczajową, jako przeżytków przeszłości, a więc starzyzny, która przecież jako taka nie może być modą.

Jedną z najgłębszych wypowiedzi, jaką ostatnio przeczytałem na ten alarmujący temat, to słowa Juliana Przybosa w wywiadzie z nim Bohdana Drozdowskiego w numerze 15 (325) „Zycia Literackiego”: „Jerzy Stempowski słusznie zauważył, że „czarna literatura” uprawiana szeroko na Zachodzie pomaga w trawieniu ludziom po dobrym obiedzie. Ale u nas, w kraju skąpych obiadów, literatura taka pełni rolę destrukcyjną, pogrąża młode umysły w beznadziejności, w kulcie dla pijackiego sposobu życia... Zdumiewa-

ją mnie ci młodzi. Uciekają do piwnic. Co to znaczy? Tęsknota do jaskini?”.

Otóż to! Pozwoliłem ci ja sobie przeczytać ostatnio dwie opowieści Marka Hlaski „Cmentarze” i „Następny do raju”, wydane w jednej książce przez paryską „Kulturę”. Znakomicie napisane, ale cóż z tego, kiedy wniosek z tych opowieści, a zwłaszcza z tej drugiej, nasuwa się, mówiąc brutalnym językiem autora, taki: koniec wieku wszelkiej ideologii, a początek powszechnej chędołgii! I co z tego? Zwłaszcza, że ta ostatnia przedstawia się plugawie, bo jest tylko fizjologicznym odruchem bez żadnej tzw. naddodowy w sferze przeżycia psychicznego czyli piękna — inaczej złudzenia, które jednak konkretnie kształtują nasze życie.

Tak to życie bez złudzeń, to nie zawsze oznacza życie bez przesądów — to najczęściej oznacza życie bez zasad, a to już jest jaskinia i ostateczne zbydlenie. Koniec wieku ideologii to nie oznacza wcale końca wieku idei. A idea w sercu człowieka to właśnie to coś, co go różni od bydła i co go wyprowadziło kiedyś z jaskini.

MARIAN PIECHAŁ

W dyskusji na temat „Czy Łódź jest miastem kulturalnym” pomija się zazwyczaj robotników. Jak dotąd, dowiedzieliśmy się, że nasze miasto przypominające często Rypin, nie zawsze umiało zadbać o interesy rozmaitych kategorii twórców, pozwoliło na masową emigrację utalentowanych ludzi. Wszystko to prawda, wszystko to jest, oczywiście, ważne dla rozpatrywanego problemu. Ale przecież miarą kultury jakiegoś środowiska jest również i może przede wszystkim — szerokość odbioru kultury, stopień jej upowszechnienia. Kilkadziesiąt lat temu mówiono o Polsce — kraj Henryka Sienkiewicza i 50 proc. analfabetów.

Dla charakterystyki takiego miasta jak Łódź, konieczna jest wiedza o życiu kulturalnym klasy robotniczej. Bez tego, jak już pisano w „Odgłosach”, cała dyskusja przypomina młócenie siana. Współ z amerykańskim profesorem, specjalistą w zakresie socjologii przemysłu, zbadaliśmy grupę robotników przemysłu bawełnianego. Stosowaliśmy metody wypracowane przez socjologów amerykańskich, a więc — obserwowaliśmy badanych w miejscu pracy, zamieszkania, przeprowadziliśmy wywiady jawne i tajne. W sumie badania nasze objęły 29 osób: 24 tkaczy, 2 pomocaczkę, 2 majstrów i jednego salowego.

Jakże się przedstawia życie kulturalne robotników łódzkich w świetle naszych, oczywiście, wycinkowych badań?

Zacznijmy od prasy. Otóż na 29 badanych tylko cztery osoby nie czytają wcale gazet i czasopism. Znaleźliśmy w tej czwórce głuchoniemą, następnie najstarszą osobę w grupie, która zaczęła pracę zawodową kilkadziesiąt lat temu, młodą kobietę, która skończyła szkołę podstawową dopiero po wojnie i jedynego, przepracowanego żywiciela czteroosobowej rodziny. Niezmiernie ciekawie przedstawia się czytelnictwo prasy łódzkiej i krajowej u pozostałych.

„Dziennik Łódzki” czyta — 19 badanych.
„Express” czyta — 18 badanych.
„Głos Robotniczy” czyta — 10 badanych.
„Trybunę Ludu” czyta — 1 badany.
„Słowo Powszechne” czyta — 1 badany.
„Przyjaciółkę” czyta — 10 badanych.
„Karuzelę” czyta — 2 badanych.
„Przekrój”, „Kobieta i Życie”, „Problemy” czyta po jednej osobie.

Trudno co prawda o uogólnienia na tak wąskiej podstawie, można jednak powiedzieć, że czytelnic-

two w Łodzi opiera się przede wszystkim na prasie codziennej. Pewien paradoks, potwierdzony przez inne, bardziej masowe badania, polega na tym, że robotnicy czytają najchętniej „Express”, źle przedstawia się czytelnictwo „Głosu Robotniczego”, pisma — sądząc z nazwy — dla robotników. Jeżeli chodzi o czytelnictwo książek, sprawa przedstawia się

furalne badanych robotników. Filmy ogląda 23 osoby, w tym 7 często, co najmniej raz w tygodniu, 9 co najmniej raz w miesiącu. Największe wzięcie mają filmy wojenne (16 zwolenników) i miłosne (15), po nich dopiero filmy o tematyce społecznej i kryminalnej. Obok kina dużym zainteresowaniem cieszy się cyrk. Na 29 badanych jedynie 5 osób nie zna cyrku. 23 osoby bywają co najmniej raz w roku w cyrku.

Inaczej mają się rzeczy z teatrem. Jest to wciąż jeszcze elitarna instytucja, mało dla robotników zrozumiała. Stąd też jedynie 12 osób stwierdziło, że chodzi do teatru, zresztą rzadko, pozostali teatru nie znają. „Do teatru, cyrku, kina to się chodziło w młodych czasach. Teraz idę do kościoła, bo się nie plać” — oświadczyła nam najstarsza z badanych. Oczywiście, nie wszyscy kierują się zasadami staruszek, większość prawdopodobnie chodzi tradycyjnie do kościoła.

Świetlica przyfabryczna świeci pustkami. Spośród badanych tylko 6 osób było w świetlicy z okazji przedstawienia, jakiejś akademii i gwiazdki, kiedy to rozdawano prezenty. Z tych 6 osób tylko trzy zdecydowały się wysłuchać odczytu.

Stwierdziliśmy ponadto, że większość życia spędzają badani robotnicy w ciasnym kręgu rodzinnym i w wąskim gronie najbliższych sąsiadów. Życie płynie w niewielkich ramach mieszkania, klatki schodowej, domu, ulicy, poza dzielnicę już z reguły nie wychodzi.

Nasze badania pozwoliły nam domyślać się, że w życiu kulturalnym robotników dużą rolę odgrywa prasa i przez nią w pierwszym rzędzie należy kształtować gusty i zainteresowania kulturalne. Czy robi to prasa łódzka? Czytelnictwo literatury pięknej przedstawia się źle, robotnik żyje poza teatrem. Natomiast rozsądna polityka repertuarowa w kinach łódzkich, której, niestety, nie widzimy, z pewnością mogłaby być pomocna w walce o podniesienie kultury.

JÓZEF KADZIELSKI

Co czyta i ogląda robotnik łódzki?

znacznie gorzej. Spośród badanych czyta tylko 15 osób, 10 osób, w tym dwóch majstrów, odpowiedziało nam, że nie lubi czytać i nie czyta, dwóm osobom nie pozwala czytać słaby wzrok. Najpopularniejsi pisarze, to Sienkiewicz, Krąpiec, Prus, Konopnicka, Reymont, Orzeszkowa, a więc ci sami od kilkadziesiąt lat klasyki. Literatura współczesna czytana jest słabo. Badani wspomnieli tylko dwa nazwiska: Meissnera i Marczyńskiego, który krąży po fabryce „prywatnie”. Obok prasy jeszcze i kino charakteryzuje zainteresowania kul-

Kościół Mariacki przed stu laty



Stara litografia W. Walkiewicza z 1853 r.

WYTWORNY

Ze starych kronik

Górski w swej książce „Łódź spółczesna” — zbiera się tu doborowa publiczność. Przy stolikach pełno pań i panów, ubranych starannie, podług ostatniej mody. Wywieszona orkiestra przygrywa marzydzielskie walce, a stuk kufli towarzyszy tonom melodii. (Jest tu od dawna przyjęty zwyczaj, że panie na równo z mężczyznami „bombą piwa uprzyjemniają letnią rozrywkę ogrodową”). Największy ruch w Helenowie panuje w maju i w pierwszej połowie czerwca później bogatsza Łódź wyludnia się.

Zanim jednak wielki świat Łodzi wyruszy za granicę, na włoskie, francuskie czy belgijskie plaże lub do modnych „kurortów” — tu właśnie, w Helenowskim parku, organizowane są dobroczynne kiermasze, loterie, zabawy ogrodowe i kwiatowe „corsa”. Tu sypią się jak leciutki, różnokolorowy deszcz barwne płateczki „confetti”, tu o gałęziach drzew zabacają zręcznie rzucone, choć nie zawsze do celu trafiające, bibułkowe, tęczkowe „serpenty”, a żwir alejek usiany jest jak śniegiem strzępkami loteryjnych biletów. Tu, by zaakcentować swą obecność jeśli im na tym właśnie w jakichś wrogłych zależy, łódzcy milionerzy hojnie sypią nadatki, kupując z rąk strojnej damy z „beau monde” wanny kwiatek do bukie-

ki, czy jakiś zbyteczny ozdóbki drobiażdżek.

Przed bramy ogrodu zajeżdżają pojazdy: można podjechać wygodnie od ulicy Średniej, skręcając na lewo w piękną, podwójną aleję drzew, wiodącą do wejścia. Włóczą się tu, nie raz jedne za drugim w dni zabaw, pojedynczo — o różnych godzinach zwykłego, nie dla wszystkich jednak przecież roboczego dnia — błyszczące lakierowane landa, modne, wysokie amerykańskie, zabawne dwukolne kabriolety czy też zawsze eleganckie karety i powozy z liberyjnym stangretem na koźle.

Pięknie, elegancko, może nawet aż za bardzo wymyślnie urządzą ten letni salon bogatej i zamożnej Łodzi ubiegłego stulecia znany przez myśliwce łódzki, Karol Anstadt, właściciel Helenowa.

Jeśdzie w 1890 roku „o prócz upiększeń, jakimi co rok przybiera tę miejscowość”, jak w tym właśnie na przykład roku — wzniesieniem estrady, na której w lecie podczas spacerów przygrywać będzie orkiestra — „robi starania o założenia ogrodu zoologicznego”, który potem — jak wiemy — miał się tak ciekawie rozwinąć. „Dziennik Łódzki” donosi w wielkim zachwytem, że „w osobno

no do urządzonym budynku pan Anstadt zgromadził już różnego gatunku dzikie zwierzęta”, a choć wymienia zaledwie „po parze niedźwiedzi, jeleni, danieli i dzików oraz trzy sarny i kilka zajęcy” — nie hamuje to reporterskiej weny notującego ten atrakcyjny ewenement dziennikarza. W tym 1890 roku prasa łódzka notuje, jako jedną z największych atrakcji letniego sezonu „ogień sztuczny, wykonany przez sławnego pyrotechnika M. Kollera z Warszawy”, które zdumiewająco mają i zachwycać publiczność łódzką na tle Helenowskiego parku. Wstęp jest wprawdzie dziś kosztowny, miejsca siedzące na tarasie po rublu i zamawiać je należy uprzednio, ale program jest tak atrakcyjny i tak bogaty, że wcale nie można się dziwić frekwencji, która była zdumiewająco liczna. Po i rakiety z wystrzałami, i wodospad przy słonecznym oświetleniu, i walka węzów w powietrzu i wielka burza ogniowa, i waga słoneczna z brylantowym ogniem, i łabędź na wodzie w brylantowym świetle, i globus z ognia, i rakiety z deszczem ognistym, i „Wiara, Nadzieja i Miłość”, i korona z gwiazd w chińskim ogniu, i bukiet wodnisty, i Wielkie Bombardowanie — „Capriccio”, składający się z rakiet, rzymskich świece, kul ogni-

stych, węzów powietrznych i kwiatowej fontanny...

A do tego jeszcze — cały ogród tonący w ogniach bengalskich, muzyka wojskowa i strzał armatni, który zakończył te emocjonujące widowisko...

Nie tylko takie jednak — już nie tylko na elitarną, ale i na masową publiczność obliczone atrakcje — organizuje niestrudzony zarząd Helenowa. W 1898 roku odbył się w Helenowie wzlot balonu „na wysokość 3000 stóp” i „przy pomocy spadochronu skok na ziemie”... a zimą, gdy tylko mrozik świat należyście ściśnie, urządzona zostaje na wielkim stawie znakomita ślizgawka. Amatorzy łyżwiarskiego sportu nie mogą narzekać. Zbiera się na lodzie „śmieszka” towarzysztwa. Zabawy, tańce, wyścigi barwne karuzele łyżwiarzy organizowane na dobroczynne cele, rywalizują nieraz barwnością korowodów i swą sportową doskonałością z warszawską Doliną Szwajcarską słynącą ze swego lodowiska.

Zabawa łyżwowa urządzona w niedzielę na stawie za browarem Anstadtów sprężająca liczny zastęp łyżwiarzy — czytamy na przykład w jednym ze styczniowych numerów „Dziennika Łódzkiego” jeśdzie z 1886 roku. — Wejście kosztowało

50 kopiejek... od godziny 3-ciej po południu przygrywała orkiestra wojskowa. O zmierzchu oświetlono staw lampą elektryczną i ogniami bengalskimi. Karuzela miała także chętnych amatorów i przyczyniła się do powiększenia dochodu. Znakomita aura sprzyjała ślizgawce... Towarzystwo Dobroczynności na którego korzyść zabawę tę urządzono, wspomogło się zapewne nie najgorzej”.

Kierownictwo Helenowskiego parku usłowoło działać i w innym, nie tylko w spacerowo-zabawowym kierunku. Stałych swych bywalców, którzy korzystali zarówno z poobiednich koncertów wojskowej kapeli jak i z rannych przechadzek „przy koncercie”, trwających od 6-tej do 9-tej rano (dla tzw. „rannych plaszków łódzkiej burżuazji”) — starało się zainteresować również i sztuką.

Latem organizowano w Helenowie „salon artystyczny”, zwany „wystawą letnią”. W roku 1898 specerowicze, opłacający wstęp do ogrodu, mieli możliwość podziwiania pastelowego tryptyku Rapackiego, wprowadzającego — jak skrętnie notowano — „nowe tematy w sztuce malarzkiej: trzy doby z życia robotnika,

RESPONDENCJA • KORES

Szanowny Redaktorze!

A więc potwierdziła się znowu zasada, że „uderz w stół... itd.”. W odpowiedzi na moją korespondencję zamieszczoną w numerze 6 „Odgłosów”, a dotyczącą „Kramu z ilustracjami” — odezwał się w swym „Kramiku” Jerzy. Szukado tylko, że miast podumać chwilką nad „stotą w/w korespondencji, wyszedł z nerwów i zaczął znęcać się niemiłosiernie nad... pseudonimem.

Skądinąd mógłbym się radować, że tak podzielałem twórczo na Jerzego. Po pierwsze: miał on znów o czym napisać. Po drugie: doszedł po raz któryś w jego felietonie do głosu żargon podwózkowy, a pióro publicysty nabrało niezwykłej ostrości. Mogłbym się radować, gdyby...”

Właśnie, gdyby. Gdyby nie ta nieznośna istota poprzedniej korespondencji, zasadzająca się na, na tym, że konstruowanie podkładu filozoficznego do tak filuteriej improwizacji, jak wybory „Miss Łódź” jest rzeczą co najmniej zabawną.

Czemu, Redaktorze, zostaliście odczytany? Dlaczego mój list wzięto za napaść osobistą? Na domiar złego Jerzy pisze, że „gdyby do końca życia tłukł głową o ścianę, to i tak nie zrozumie, dlaczego w felietonie o wyborach Miss nie wolno cytować Czernyszewskiego”. Wszyscy u nas wiedzą, Redaktorze, że cytować wolno. Tylko czy zawsze trzeba? Tak czy owak, wypłynęło, proszę, na Jerzego, by nie tłukł głową o ścianę. Może mu się przytrafiło coś złego, a gdyby nawet szczęśliwie ocalał, to przecież łódzkie mury są już nazbyt obliczone.

Z poważaniem —
osze GWOZDZIK

P. S. A swoją drogą chciałbym Wam, Redaktorze, donieść, że mniej więcej od trzech tygodni przestały straszyć ze szpalt „Kramu” mrozące krew w żyłach wampiry i rozebrane kotki, zwłaszcza te „w mniej artystycznym ujęciu”. Oczywiście fakt ten trzeba zaliczyć — jak wiele zresztą zjawisk w życiu — do tzw. ślepego przypadku.



aspazja

ILUSTR. J.BIS-GRATKOWSKI

- 13 -



Niespożyta w swej docieklności ludzkość wysłała na Marsa 18 wypraw, z których żadna nie powróciła. Jak mówi tajemnicza depecha — uczestnicy wypraw międzyplanetarnych ginęli z ręki jakiejś nikomu nieznannej demonicznej kobiety. Po trzydziestu latach od chwili wystąpienia pierwszej rakiety, wyruszyła na Marsa 19 rakietą. Czy dotrze do celu?

Odezwał się profesor Jack Jejack, Kanadyjczyk, wybitny geograf i geolog kosmiczny. Był z nas wszystkich najstarszy. Miał blisko 100 lat. Połowę życia spędził na Wenus i stąd twarz jego była biała, gdyż na planecie tej nigdy nie ma słońca z powodu gęstej zasłony chmur. Ludzie długo przebywający na Wenus mają charakterystyczny kolor cery. Ciemne oczy zmrużył, jak to czynią krótkowidze. Uśmiechał się spokojnie i dobroliwie. Cieszył się z tej podróży, a przy tym spoglądał w przyszłość trzeźwo.

— Jak wiemy — oświadczył — kilkadziesiąt tysięcy lat temu, a może i więcej, może milion lat temu, życie na Marsie wygasło. Większość naszych uczonych przynajmniej tak twierdzi stanowczo. Bo i rzeczywiście, jak sobie wyobrazić życie bez tlenu, bez wody, bez warunków termicznych? Zostało chyba coś zupełnie pierwotnego. Może mikroby nitryfikacyjne? Może mchy? Pozostały po starych mieszkańcach zwałiska, mury, resztki kanałów. Ale czy tylko tyle pozostało? Odkąd prowadzimy systematyczne obserwacje Marsa nie dostrzeżono najmniejszych oznak życia wyższego typu, jakichś zmian, jakiegos ruchu. Nie ulega wątpliwości, że jest to w istocie planeta martwa, a jednak coś tam jest, coś dzieje się, coś tam na nas czeka.

— Rzeczywiście — ciągnął dalej — pytanie profesora Townsenda jest bardzo usprawiedliwione. Jeżeli nie biologia... to co? Więc są tam jakieś trucizny, jakieś niebezpieczeństwa. Przypuszczamy, że może jakieś gazy, jakieś temperatury, działania jakichś promieni. Być może również zasadzki, sidła, zapadnie. Ta

- 14 -



wysocę inteligentna rasa, ginąc, chciała może zabezpieczyć spokój swych prochów; może nie życzyła sobie, aby jakakolwiek istota na tej ziemi stanęła. Mnie się wydaje, proszę kolegów, że ta hipoteza jest jednak najbardziej prawdopodobna. Na Marsie nie ma żadnych żywych istot, ale są zasadzki i wskazana jest wielka ostrożność. Niebezpieczeństwo blisko. Spotkamy się tam z działaniem nieznanymi sił i te siły mogą i nas zburzyć.

— Doskonale — powiedział Freyd — jesteśmy i bez tego dość wystraszeni. Co jednak profesor myśli o depechy Vituulena?

— Myślę, że to mistyfikacja — odrzekł Jejack. — Żadnej kobiety na Marsie nigdy nie było i być nie może. To jest bzdura!

— Drodzy towarzysze — zabrał głos admirał. — Mamy przed sobą tylko jedno zadanie — nie dać się! Do tego zadania dosłujemy wszystkie inne. O Marsjanach nic nie wiemy. Bardzo dobrze. Wiemy jedno — cudów nie ma! Nie spodziewajmy się więc tam cudów. Cokolwiek tam będzie, to zawsze będzie to coś, co mieści się w granicach praw przyrodzonych. Jacy więc mamy być? Mamy być czujni, ostrożni, rozważni. Żadnego szaleństwa, żadnej nierozwagi, żadnego niemądrego bohaterstwa. Czynimy tylko to, co chłód naszego rozumu nam poddyktuje. Nie dotknijemy tej ziemi jak długo, aż przekonamy się, że można po niej chodzić bezpiecznie. W razie wielkich trudności powracamy na Ziemię — i tam się jeszcze raz będziemy naradzali, co dalej z Marsiem robić.

— Jeszcze jedna rzecz w tym zagadnieniu jest bardzo interesująca — odezwał się profesor Jejack. — Jeżeli przed milionami lat mieli oni taką wysoką cywilizację, to czemu nigdy nie przyszło im do głowy opanowanie Ziemi? Czyżby nie odkryli sposobu poruszania się po przestrzeni kosmicznej? Lub może nie mieli w sobie instynktów zaborezych ani ciekawości naukowej?

- 15 -



— No, mogły to być cywilizacje w rodzaju naszych starożytnych... powiedzmy Chin, Indii, Grecji, Perzji — powiedział Freyd. — Takie cywilizacje nie musiały iść drogą rozwoju technicznego.

Profesor Li-miao-tai uśmiechnął się łagodnie i pokiwiał głową.

— Sprawa wygląda zupełnie inaczej — powiedział. — U nas i w Indiach są zapisy sprzed kilkunastu tysięcy lat. To są legendy, ale może być w nich wiele prawdy. Tam w tych naszych świętych księgach mówi się, że w zamierzonych czasach przylecieli z gwiazd w nieznanym aparatach jacyś dziwni ludzie, którzy jednak nie byli podobni do ludzi. Trochę byli podobni do ptaków i trochę do zwierząt. Osiedlili się na wielkiej wyspie leżącej między Europą i Ameryką... na lądzie zwanym później Atlantyda. To nie wulkany zniszczyły tę wielką wyspę, tak że zapadła się na samo dno Atlantyku. To Marsjanie ją zniszczyli. To był wybuch materii subjadrowej. Być może był to przypadek, może jakieś zbiorowe samobójstwo, a może siedli do swych aparatów i odlecieli z powrotem, a tutaj... tutaj tylko zniszczyli ślady po sobie. Świat wtedy był jeszcze bardzo młody i nie bardzo mądry... Może wcale nie warto im było tutaj się osiedlać. Może lepszy był, wolei swego Marsa... A może, kto wie, odlecieli w przestrzeni gwiazdowej? Może szukali jakichś wyższych cywilizacji? Kto wie?

Kiedy mówi Li-miao-tai wszyscy słuchają uważnie i wszyscy w głębi duszy nie zgadzają się z nim... ale jest coś fascynującego w jego słowach i w jego sposobie mówienia.

— To nie o to chodzi — oświadczył admirał Hill. — Mnie wcale w tej chwili te sprawy nie obchodzą. Nie mam takiej fantazji. Ja patrzę konkretnie: nie dać się, nie zrobić żadnego głupstwa, zwyciężyć, powrócić zdrowym i żywym na Ziemię.

(d. c. n.)



telewizja nie daje nam możliwości cofania akcji w dowolnym punkcie, stawia to zawsze przed realizatorami zwiększone zadania troski o czytelność opowieści przedstawianej na małym ekranie, a szczególnie w przypadku sztuki kryminalnej, sensacyjnej, sztuki zaskakujących splotów sytuacyjnych, nieoczekiwanych point. Żadnych wrażeń tego typu widz nie odbierze w pełni, jeśli audycja staje się nieczytelna. W odbiorze widowiska przeszkadza też brak idealnej ciszy w atelier. Pomimo tych minusów spektakl dał 45 minut niezłej rozrywki.

Z. K.

W powieści „Z lewej, gdzie serce bije”, chyba najbardziej zasługującą na uwagę prostotą języka i stylu, niezwykłą skrótością. Okres pięćdziesięcioletni z wyrażeniem zarysowanym tłem historycznym (pierwsza i druga wojna światowa), zamknięty został na 240 stronach zaledwie. Sceny środowisk, w których przebywa bohater, postacie drugorzędne, zdają się być świadomie oszczędnie rozbudowane. Przedstawione są tylko wtedy, gdy mają ścisły związek i bezpośredni wpływ na osobowość bohatera. W ten sposób uzyskana została niewątpliwie precyzyjna i skondensowana synteza rozwoju Franka jako pisarza. Nie zawalowana żadną poza prawdą pozwala odkryć cały system bodźców i kompleksów autora, przez co książka stanowi, najlepszy klucz do gruntownego poznania pozostałych jego utworów.

W każdej autobiografii znajdziemy wiele doświadczeń i praktycznych wskazówek, których Leonhard Frank bynajmniej nie żałuje, dla początkujących autorów.

Na zakończenie należałoby zwrócić uwagę na bardzo wymowny obraz z okresu powstawania pierwszej książki: „Nad połową pierwszej strony pracował przez trzy miesiące, dzień w dzień do późnej nocy. Na tej połowie strony, zalamując się po wielokroć w zwatpieniu, nauczył się pisać”.

T. ŻAKOWIECKI

NASZA KRZYŻÓWKA

1		2		3		4
5		6		7		8
		10				
11				12		
		15		16		17
18				19		
20						

ZNACZENIE WYRAZÓW

Podziorno: 1) Nowoczesna gałąź nauki, 5) Karta, 6) Placuszek z miodem, miodu, czekolady itp., 10) Nazwa południowego morza, 11) Mała Irena, 12) Napój, 13) Owce, 14) Lekceważący wszystko, 15) Legendarny król Galii, bohater cyklu podań bretonskich, 20) Wstrzemięźliwość.

głębokość, 9) Oddzielny pokój do pracy, 14) Pedzi, 15) Żywność, 17) Persja.

Termin nadsyłania rozwiązań — 10 dni.

Nagrody książkowe za rozwiązanie krzyżówki z nr 4 wysłano:

1. Wiesława Słech, Rawa Maz., ul. Kościuszki 15.
2. Kazimierz Bronowski, Zgierz, ul. 17 Stycznia 34.



sobotę, 12 bm., Warszawa nadała „Głos mordercy” — widowisko kryminalne wg opowiadania H. M. Cloy. w reżyserii M. Nowakowskiego. „Głos” był sugestywny i zwrócił na siebie uwagę.

Opowiadanie H. M. Cloy miało na pewno wszystkie niezbędne wartości, w jakie utwór kryminalny musi obfitować, miało też dla telewizji dodatkowy plus — było krótkie. Nie więc dziwnego, że postanowiono je zaadaptować. I tu objawiła się stara prawda, że sam nawet najdoskonalszy tekst, nie robi jeszcze spektaklu.

Co zaciążyło na inscenizacji warszawskiej? Przede wszystkim słaba czytelność widowiska, nieczytelną nurt narracyjny. Historia rozgrywa się w kilku różnych wnętrzach i ma pewnie 8 postaci działających. Z tego powodu realizatorzy powinni z wielką precyzją różnicować dekoracje jako miejsca akcji, oraz postarać się o pe-

dantyczna ekspozycję bohaterów. Kiedy czytamy powieść i wskutek zbyt nagłego wprowadzania przez autora wielu bohaterów przedstawiamy ich rozróżnić, możemy odwrócić kartki, powrócić do wcześniejszego miejsca akcji i przypomnieć zagubioną postać. Ponieważ

KSIĄZKI dla naszego czytelnika

Autobiografia zdaje się być rodzajem szczególnie wdzięcznym dla pisarza i zawsze wzbudzającym zainteresowanie czytelników. Mniej czy więcej szczęśliwie obrazowana motywacja powstawania dzieła, tak zwana „psychologia twórczości”, życie osobiste autora i wreszcie obraz środowiska artystycznego, zawsze atrakcyjnej egzanerii — oto elementy przyciągające czytelników.

Nie dość powiedzieć, że książka Leonharda Franka,

należącego do grupy wybitnych współczesnych pisarzy niemieckich, autora znanej u nas „Bandy zbójckiej”, jest autobiografią. Zapewne trudno byłoby znaleźć w literaturze światowej tego typu, a w najlepszym wypadku znalazło by się niewiele dzieł równie autentycznych, o dokładności zyciorysu. Jesteśmy z lekka zaskoczeni kiedy bohater powieści przytacza tytuły utworów, które ukazały się przeciwieństwie do rzeczywistości, a nawet prezentuje autentyczny fragment „Bandy zbójckiej”.

str. 9 **odgłosy**

JEAN
BELLUS

NAJOSTRZEJSZE OLÓWKI ŚWIATA

albo

żarty rozebrane

MIECZYŚLAW VOIT

cha! cha!

Tym razem chcę przedstawić rysownika, który nie reprezentuje jakiejś swoistej „obsesji”, który nie posiada wyraźnej, własnej „filozofii” — jak na przykład Ronald Searle — wróg pensjonarek, czy Charles Addams — kronikarz „strasznej rodziny”. W żartach Bellusa nie ma nawet tej leciutkiej drwiny, jaka charakterystyczna jest dla wielu najwybitniejszych humorystów francuskich. Mimo to Bellus cieszy się od lat zasłużoną popularnością także i poza granicami Francji — a szczególnie wśród pici brzydszej... i dojrzałej. Ktoś złośliwy mógłby nawet zauważyć, że są to żarty przede wszystkim dla starszych panów...

Bellus ze zdumiewającym uporem realizuje jeden jedyny temat: rozebranej kobiety. Rzecz staje się jednak tym bardziej pikantna, że ów „strip tease” odbywa się zawsze w obecności ludzi ubranych, eleganckich i statecznych... A ludzie ci traktują przeważnie całą sytuację jako coś zupełnie naturalnego.

Pomyślcie — cóż za pomysłowość! Powtarzać ustawicznie jeden i ten sam motyw, ciągle ten sam temat — i nigdy nie zużyć, stwarzać zawsze nową i dowcipną sytuację...

Jean Bellus należy do starszego pokolenia rysowników francuskich, publikował dużo już przed wojną, głównie w magazynie humorystycznym „Rire et Rac”. Owczesne jego rysunki były jednak na bardzo przeciętnym poziomie. Brak w nich było wyraźnych zainteresowań tematycznych, dowcip był mało pomysłowy, kreska niezdecydowana. Dopiero w ostatnim dziesięcioleciu, kiedy zaczął realizować cykl „rozebrany” — głównie w „Le Rire” i „Ici Paris” — zyskał powszechne uznanie.

J. WEY.

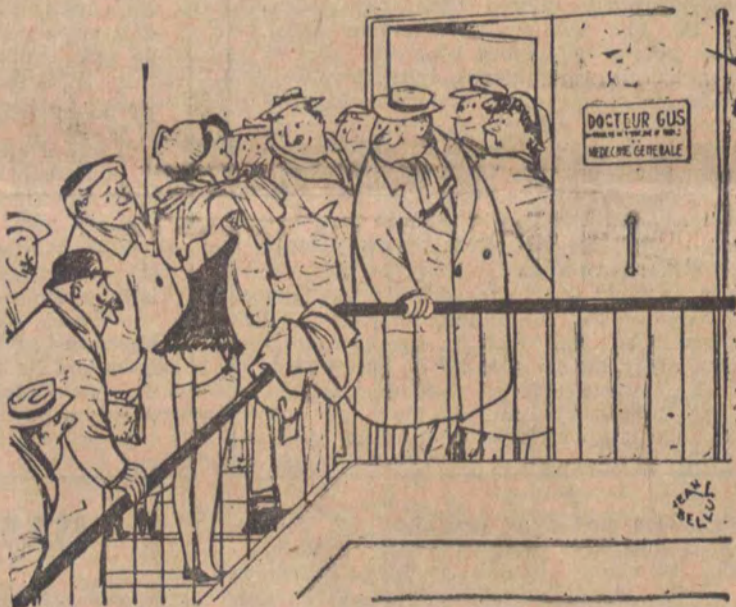


— Rozkład mieszkania jest bardzo niedobry. By uciec się do łazienki, trzeba przejść przez wszystkie pokoje.

ZA TYDZIEŃ
LESLIE STARKE
albo
„Coś nie jest
na swoim
miejscu”



— To właściwy moment do załatwienia sprawy. Szef jest w bardzo dobrym humorze.



— Lepiej się tutaj rozebrać, oszczędza się masę czasu.

Z cyklu
W MOIM RODZINNYM MIEŚCIE

HORACY SAFRIN

CADYK MIELOMAN

Moje rodzinne miasto było siedzibą dwóch teatrów, opery, Urzędu Wojewódzkiego oraz cadyka z Otyńi. Aczkolwiek nigdy nie grzeszyłem nadmiarem pobożności — wprost przeciwnie, uprawiałem bezbożny zawód dziennikarza i aktora — miałem zaszczyt znać osobiście tego świątobliwego męża, którego mądrość słynęła daleko poza rubieżami naszego grodu. Co więcej: rabbi darzył mnie specjalną sympatią. Zakiełkowała ona na podłożu wspólnych zainteresowań. Obaj lubiliśmy pasjami muzykę, choć melomania cudotwórcy ograniczała się raczej do zakresu pieśni synagogalnych.

Rokrocznie wielotysięczne rzesze chasydów oczekiwały z utęsknieniem uroczystych świąt Nowego Roku, kiedy to odwiedzał cadyka słynny kantor z Wyżnicy, Josele Słowik. Towarzyszył mu

zazwyczaj chór chłopięcy i doskonale zgrana kapela.

Aliści wszystko, co ziemskie, ma swój koniec. Z biegiem lat niezawodna gardziel Josia jęła słabnąć, struny głosowe odmawiały posłuszeństwa. Śpiew kantora, mimo sporego ładunku uczucia, coraz bardziej upodabniał się do starzej płyty gramofonowej.

Cadyk przez pewien czas przysłuchiwał mu się z wyrozumiałym uśmiechem na wargach. Wreszcie wezwał go przed swoje oblicze.

— Aj, Josele, Josele — strofował po ojcowsku. — Jakież z ciebie niepoprawny skąpiec!

— Dlaczego, rabbi?
— Przywiozłeś taki dobry chór, przywiozłeś taką dobrą kapelę. Przywiozłbyś jeszcze dobrego kantora — i wszystko byłoby w porządku.

Dwa limeryki

RAZ ICHTIOLOG...

Raz ichtiolog w mieście Tule
W kąpielówkach wlał pod uję.
I mruknął: „Gdyby
Tu były ryby,
Nie wlałbym tu w ogóle...”

PEWIEN MIECZYŚLAW...

Pewien Mieczysław z Sanoka
W imieniny spłił się w sztuk. A
Obiecywał w Nowy Rok
Nie zalewać się już w sztuk.
Dnia nie wytrzymał! Wywłoka!



FRASZKI

STANISŁAW BOROWKIN

IDYLLA

Kiedyś, gdy księżyc lśnił na niebie,
słowik pieśń śpiewał, bzy pachniały,
mówilem:

— Kocham tylko ciebie
prócz... wielu kobiet pozostałych.

STARE PRZYSŁOWIE W NOWYM
WYDANIU

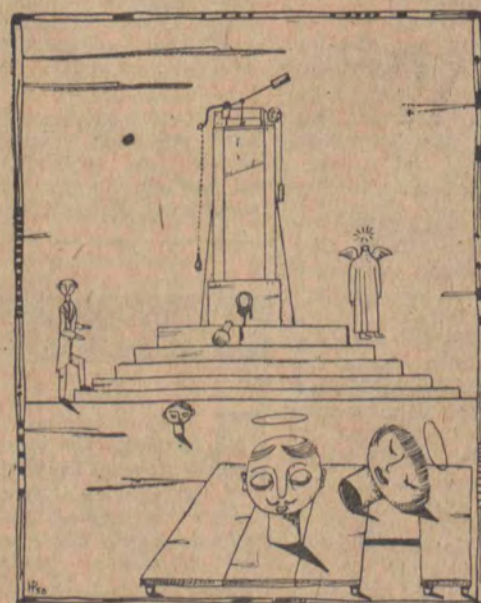
Nie wszystko złoto co się świeci
— nie każdy płodny kto ma dzieci.

PATRIOTKA

Oddała swe lono
pro publico bono.

JAN CZARNY

Historia
o Bzdurowie
we fraszkach
i obrazkach



SPOSÓB

Musisz się rozstać z głową,
by cię lubiło Bzdurowo,

ZBIGNIEW NIENACKI

ZABÓJSTWO HERAKLIUSZA PRONOBISA

Powieść

ILUSTRACJE
JERZEGO NOWOSIELSKIEGO

STRESZCZENIE POCZĄTKU:

Poszukujący zabójców swego przyjaciela Pronobisa — poeta Nataniel i publicysta Tomasz przybywają do pałacu w Borowie, gdzie wypoczywa grupa intelektualistów. Pałac jest wspaniały, wewnątrz jego zdobią bezcenne dzieła sztuki. W nocy znikła ze ścian wartościowy obraz, a z szafy srebrna zastawa stołowa. Kradzieży mógł dokonać jedynie ktoś z borowskich gości. A są to ludzie, zdawałoby się, poza wszelkimi podejrzeniami. Przebywa tu bowiem: Poważny Prozaik z żoną, aktorka dramatyczna Katarzyna Rokoko, Pani i Panienska z Wydawnictwa, malarz Borówko, redaktor „Horyzontów Filatelistyki”, krytyk literacki Grzegorzycy, tłumacz beletrystyki przewidywaniem „Kostek”, profesor Zann, matematyk, wraz z córką Stokrotką oraz wielki poeta Nataniel i publicysta Tomasz. Ktoś z nich jest złodziejem. Ale kto?

— O ile ciebie znam, zrabowałbyś de Ribera. A ja? A ja? — zastanawiał się mistrz — polakomłbym się chyba na „Głowę Chrystusa w cierniowej koronie” z „Białego salonu”. To jednak Albrecht Dürer, doktorze.

— Tak więc podsumowując, proszę państwa — mówił doktor — śnieg sywał do dziesiątej, rabunku jednak dokonano o wiele później. Oprócz moich, żadnych innych śladów na śniegu nie ma, wamiywał jest nadal w pałacu i zapewne są tu także i ukradzione przedmioty.

— Może w którejś z ubikacji? — jęknęła Eleonora z Kraszewskich. Doktor jednak zlekceważył jej uwagę:

— Sprawa jest poważna. Ja odpowiadam przed władzami za całość zbiorów borowskich. Jeśli się nie odnajdą zrabowane dzieła sztuki, prawdopodobnie stracę posadę. A z tych ukradzionych przedmiotów, raczej długo nie wyżyję, nie są najcenniejsze... — zażartował. I dodał znowu poważnie:

— Proszę państwa, w sieni czekają już funkcjonariusze Milicji. Państwo będą łaskawo pozostać w palarni aż do odwołania. Za chwilę nastąpi rewizja całego pałacu i... śledztwo.

Krytyk Grzegorzycy, odciągnął doktora na bok:

— Przepraszam, a czy można by kogoś posłać po wódkę?

— Najlepsza partia, to partia pokera. Może zagramy, he? — zapytał głośno redaktor „Horyzontów Filatelistyki”. Ale nie było chętnych.

Śniadanie podano bardzo spóźnione, bo milicja nie chciała dopuścić służby do pałacowej kuchni, zanim nie ukończono rewizji. Rewizja ciągnęła się długo, podobno szczegółowo przejrzano każdy kąć, strychy, piwnice, wszystkie zakamarki, które wskazał milicji doktor. Dokładnie zrewidowano nasze pokoje, walizki, podobno nawet przetrzeszono materace w łózkach i kieszenie ubrań rozwieszonych w szafach. Skandal! Skandal! Skandal! podwójny, bo nic nie znaleźli.

Obecnie trwa śledztwo i przesłuchania, które odbywają się w kancelarii na parterze tuż przy sieni.

Przesłuchiwali mnie dwaj oficerowie milicji. Nic nie wiem, nic nie powiedziałem. Nawet pary zębów nie puściłem o tych nocnych rumorach w pokoju profesora Zanna. Zrobiło mi się szkoda Stokrotki.

Jeśli profesor Zann popełnił rabunek z miłości dla sztuki — wybaczam mu.

A swoją drogą, żeby taki wielki naukowiec, no, no, no...

Obiad upłynął w przykrym nastroju. Prześnuwaliśmy jado w ponurym milczeniu — jeden drugiego taksował wzrokiem: „Tyś bratku złodziej, czy nie ty, czy tamten?”

Poważny Prozaik nie wytrzymał nerwowo ciężkiego milczenia. Przeszał jeść i wymachując łyżką począł perorować:

— Co się dziwić kradzieżom w borowskim pałacu? A na czym stoi nasza współczesna literatura? Na kradzieży. Na ordynarnej kradzieży. Niektórzy młodzi poeci nazywają się

bie poetami „konwencji”, co w praktyce oznacza posługiwanie się cudzą wyobraźnią i cudzą metaforą. To samo w prozie. Znam pewnego pisarza książek historycznych, który bezczelnie okradła Sienkiewicza lub „zapożycza” z mniej znanych autorów w rodzaju Czajkowskiego. Niestety, wszystko to uchodzi im „na sucho”...

— A ty się w polityczne rozmowy nie wdawaj, nie narażaj. Nikogo nie słuchaj i nikogo się nie radź — pouczyła Prozaika jego żona, pani Eleonora z Kraszewskich.

Mistrz natychmiast wtrącił swoje „trzy grosze”:

— Rzekł św. Bernard: „Kto sam siebie uczynił swym nauczycielem, ten został uczniem głupiego”. Niemieckie przysłowie mówi: Der gute Rat ist teuer, a przecież ludzie niczego tak chętnie darmo nie dają, jak dobrą radę. Zauważył Roderich: — Prędzej dziesięciu ludzi udzieli ci rady, niż jeden wspomocze cię dziesięcioma grozami.

Pani Eleonora posiniąła ze złości, a jej mąż pokraśniał z zadowolenia słysząc naraz aż tyle mądrych zdań. Potem pani Eleonora długi czas wolno jadła, coś sobie w głowce obmyślając. Wreszcie rzekła do mistrza krzywiąc twarz w fałszywym uśmiechu.

— Panie Natanielu, wchodząc rano do palarni obwieścił pan: „Dzisiaj w nocy pracowałem”. Co pan rozumiał pod tymi słowami: pracowałem? Przecież wszystkim wiadomo, że pan nic nie pisze.

— Pisałem — odparł spokojnie mistrz.

— Wiersze? — powątpiewała.

Mysleliśmy, że Nataniel się pogniewa. Lecz nie. Pomedytował i wyrzekł, wstając od stołu:

z uznaniem i szacunkiem. Ba, nawet Poważny Prozaik zerkając boczką na swoją polowicę, odważył się uzupełnić Nataniela:

— Wyczytałem u Chamforta, że gdyby nie wielki pociąg do kobiet, jaki natura mądrze w serca mężczyzn wlała, to pogarda, jaką w nich wzbudza wady kobiet, stałaby się poważną przeszkodą dla utrzymania rodzaju ludzkiego...

— A pani co na to? — zapytał cicho Stokrotki.

— Wolę mężczyzn niż kobiety — odparła zdecydowanie.

Zakończył dysputę młody krytyk Grzegorzycy:

— Najstraszniejsze, proszę państwa, jest to, że absolutnie brak wódek. Nie ma kogo posłać do sklepu, a żadnemu z nas nie wolno się z pałacu oddalać.

— Co??? — wrzasnął malarz Borówko.

— Nie wolno? A ja się będę oddalał! Ja się muszę oddalać!

Słuchaliśmy jego wrzasków z dużym połażaniem.

— Malarz, gdzie się oddalasz? — zrymował Nataniel.

Po obiedzie zwróciliśmy mu uwagę:

— Mistrzu, jesteś cytolog.

Uśmiechnął się szczerym, bezradnym uśmiechem.

potkałem na schodach profesora Zanna. Właśnie wracał z przesłuchania w kancelarii (ciągle jeszcze przesłuchiwali). Profesor zatrzymał mnie i powiedział:

— Tra ta ta, rzuciłem podejrzenie na tego



— Tłumaczyłem prozę. Zaraz ją pani pokazuje.

— Ależ mistrzu! Wierzmy panu! Nikt pana o nic nie podejrzewa. Ależ skąd, coś takiego? — wolał mi.

Nataniel okazał się jednak nieublagany i opuścił jadalnię.

Mistrza nie było dość długo. Wrócił, gdy jedliśmy piecyste; miał w ręku kilka małych ćwiartek zapisanego papieru.

— Tłumaczę ze starożytnych — wyjaśnił. Przeczytał:

— I rzekł Salomon w Przypowieści XXX: „Pod trzema rzeczami drży ziemia, a czwartej znieść nie może: pod sługą, kiedy panuje, pod głupcem, kiedy się naję chleba, pod złą niewiastą, kiedy za nią poszła, i pod służebnicą, kiedy się stanie dziedziczką po pani swojej”. I rzekł jeszcze Salomon w Przypowieści V: „Niewiasta rzadko daje trwałe szczęście na ziemi, choć wargi jej słodkie i usta gładkie, bo... ostatnie jej rzeczy są gorzkie jak piołun”. A św. Paweł pisał do Koryntian w liście XI: „Mąż nie jest stworzony dla niewiasty, ale niewiasta dla męża; nie przystoi tedy niewieście nauczać ani panować nad mężem”.

I mistrz Nataniel w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku statecznie ślad do stołu, aby nadrobić stracony czas. Eleonora wyglądała jak upiór. Pani i Panienska z Wydawnictwa zaprotestawiały:

— Och, nie!!!

Katarzyna Rokoko, aktorka dramatyczna, zawołała z patosem:

— Mistrzu, pan jest wielki.

Mężczyźni zgodnie patrzyli na Nataniela

brudnego malarza Mrówkę, czy jak on się tam nazywa.

— Borówko, panie profesorze.

— No właśnie. Bo ten Mrówka chce się gdzieś oddalać. Po co? Zapewne, aby wynieść i sprzedać skradzione dzieła sztuki.

Straciłem dla profesora wszelki szacunek.

Ale właściwie, gdzie się chce oddalać malarz Borówko?

Pomyślałem: w Borowie w niewytłumaczony sposób giną cenne dzieła sztuki. Czyżby to ten właśnie fakt zapowiadała tajemnicza karteczka z napisem: „Potem Borów”? Czy w borowskich kradzieżach znowu macza swę palce Czarna Milady?

I przypomniała mi się jej piękna twarz pochylona nad ogniskiem buzującym w palenisku starego mlyna.

Nataniel zaproponował mi ilustrację okradzionego „Zóitego gabinetu”. Mistrz szczerze kochał sztukę i rad popisywał się przede mną zarówno znajomością borowskich dzieł piękna, jak i ich historią i rodowodem. Opowiadał o nich z prawdziwą przyjemnością, znanstwem nieprzeciętnym, lubował się w nich bardziej niż inni mężczyźni w nieprawdziwych historyjkach o swych przeżyciach miłosnych.

Ogromnymi głównymi schodami wyłożonymi fajansowymi kafelkami (Borów posiadał jeszcze boczną klatkę schodową z drugiego piętra, rozdwaną na dole, z wyjściem do szatni albo do palarni — tę używaliśmy na codzień), weszliśmy do „Białego salonu”, stąd zaś przechodziliśmy do „Zóitego gabinetu”.

Nazwany został „Zóitym”, ponieważ wnętrze jego wyposażono w stylu wczesnego klasycyzmu obiciem z francuskiej materii jedwabnej z Lyonu, w złotoczyste pasy na przemian z pasami białymi. Obicia ścienne przytwierdzono złocistymi listwami, zdobnymi w liście dębowe i żółędzie. Arabesko-groteskowe malowidła pokryły drzwi i wnęki okienne, widniały na nich motywy uskrzydłych półpostaci z koszami kwiatów

na głowach, główki dziecięce i głowy Meduzy, ptaki z kobiecymi głowami w kapeluszach i kobiecych czepekach noznych, jak nazywała ówczesna moda.

Mistrz Nataniel pozapalał wszystkie żaróweczki w dużym żyrandolu o kształcie wiązanych bukietów wykonanych z pięknej saskiej porcelany. Usiedliśmy na miękkiej, zielonej kanapie.

— Ostrożnie! — upomniał mnie Nataniel.

— Ta kanapa jest z pierwszej połowy XVIII wieku. Spójrz, to styl francuski z epoki Regencji po śmierci Ludwika XIV.

Na ścianie, przy której stało cudne biurczko typu „bonheur-du-jour” z dwoma lrami i ścianką wypełnioną szufladkami, ze złoceniami tłoczonymi na czerwonym tle imitującym safian — raziła oczy duża i pusta rama obrazu.

— To tu wisiał ów Rubens — wyjaśnił mistrz, — a w każdym razie dzieło pochodzące z pracowni Rubensa. Obraz nazywał się „Dziecię Jezus i św. Jan z barankiem”, ale daliśmy, jak zwykle u Rubensa nie było w tym nic świętego. Ot, dwa śliczne dzieciaczki — golas i mały baranek. Te dzieci, to ponoć Rubensiątko i zapewne malował je ich wielki ojciec. Natomiast tło obrazu i pozostałe szczegóły wykończył któryś z jego uczniów.

— Tutaj zaś — Nataniel wskazał palcem puste miejsce na ścianie — wisiała „Głowa starca”, Włocha Bartolomeo Nazzariego. Bandyta ukradł obraz razem z ramą. Powiedz, co mu po ramie?

— A gdzie jest ów sławny de Ribera?

— Po prawej stronie okna. Wysoko. Niżej jest „Madonna karmiąca” anonimowego malarza niderlandzkiego zwanego „Mistrzem Legendy św. Marii Magdaleny”. To były lata 1500. A jeszcze niżej wisi „Apollo i Dafne” Benedetto Luttiego.

Wstałem z kanapy, aby przyrzeć się bliżej de Ribera. Był to obraz raczej mały, trochę większy od dużej karty papieru. Piękna, mądra, poorana bruzdami twarz okolona siwą, miękką brodą. W oczach starca jakby przeogromne zmęczenie długim życiem, a równocześnie pełnia wiedzy, jaką mu ono przyniosło.

Ale przy tym wszystkim oko starca jest żywe, polyskujące bystrością. Lysawa czaszka, resztki siwych kosmyków nachodzą na uszy. Światło pada tylko na prawą stronę głowy, drugi półcelek kryje się w półmroku, którego cienie podkreślają brzozy i zmarszczki, wyraźnie zaznaczają nos.

— Boże, jaki on podobny do Pronobisa — wyszeptalem. — Tylko, że Pronobis nie miał wąsów i brody...

Mistrz wybąkał jeszcze kilka zdań objaśnienia, że owo biurko „bonheur-du-jour” stanowi ciekawe połączenie mahoni i białego marmuru, że jest roboty polskiej, wykonane w 1797 roku według projektu Stagiego, a napis na nim grecki — „Ataraxia” — znaczy „spokój”, co było hasłem stoików i epikurejczyków. Wskazał mi także godne uwagi tondo zawieszone między oknami i przedstawiające „Amorki w kuźni” włoskiego malarza Rossiego oraz „Tańczące putta” Cavedona.

— Ta goła pani na klasycystycznym trójnogu obok wejścia do sypialni, to oczywiście rzeźbiona w marmurze kopia „Wenus Medycejskiej” — ziewnął Nataniel. — Czy masz dosyć na dzisiaj?

— Pokaż mi jeszcze portret Anny Orzełskiej.

Mistrz przecząco pokręcił głową.

— Nie, Tomaszu. Innym razem. Albowiem przestrzega Eklezjastyk: „Nie patrz na piękność niewieście, ani jej pożądaj, bo przez nią wielu zginęło”...

Wtem Nataniel uczynił kilka kroków w stronę biurka „bonheur-du-jour” przykleknął i wyciągnął coś spod niego.

— Popatrz, popatrz, Tomaszu. Szkiełko od zegarka. Leżało pod biurkiem, a nad biurkiem... puste ramy po Rubensie. Czy nie ci to nie mówi? Ktoś kto wyrwał płótno z ramy, być może zaczęł zegarkiem o brzeg ramy i wypadło mu szkiełko.

— Natanielu. Jesteśmy na śladzie złodzieja! — uniosłem się entuzjastycznie.

Mistrz podniósł do góry wskazujący palec: — Alaraxia!

(D. c. n.)

Do kogo należy
szkiełko od zegarka?
Gdzie się chce oddać
malarz Borówko?
Co robił w nocy profesor Zann?
Kto jest złodziejem?

„adauje Zespół. Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka”,
Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 56, Tel. 244-19,
Redakcja nie zamówionych rekwizytów nie zwraca.
Warunki prenumeraty: miesięcznie 4 zł, kwartalnie 12 zł.
Prenumeratę przyjmuje wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPIK
„Ruch”. Łódź, ul. Roosevelta 17, konto PKO — Łódź 7 — 6-579 z zaznaczeniem
na „Odełce”. Druk „Prasa” Łódź 7 w ul. 17, Zam. 1271, IV, 58, M-1.

str.
11

odgłosy

MIESZANKA FILMOWA



EKRAK

KRAB, WAŻKA ŚLEDZIE, NUREK...

Czy wiecie, że wytrwałym podróżnikiem na gapę bywa krab? Uczępił się statku i przepłynął z wód macierzystych (około Ameryki) do Bałtyku. Tu w nowym środowisku żyje, ba, nawet zakłada sobie rodzinę. O tym opowiada film pt. „Krab” w reżyserii St. Kokesza z udanymi zdjęciami B. Bączynskiego i ciekawym tekstem A. Demkowskiej.

Tenże kolektyw twórczy zrealizował film pt. „Podwodne życie ważki”. Znana z poczciwej ważki wcale nie jest taka niewinna — należy do owadów drapieżnych. Rozwija się w dwóch środowiskach — w głębi rzek czy stawów i nad wodą. Jak? Zobaczcie film.

Skoro już jesteśmy „przy wodzie” udajmy się z rybakami na połów śledzi dalekomorskich. Film „Srebrne żniwa” J. Stefanowskiego z pięknym literackim tekstem Fr. Fenikowskiego jest dla nas, szczerów ławowych, niezwykle interesujący. Pokazuje pracę rybaków i związane z tym obyczaje. „Realizm filmu został udatnie zharmonizowany z poezją morza”.

I wreszcie „Podwodny reportaż”. Nurek (autentyczny) ob. P. Ciszewski opuszcza się na dno Bałtyku. Śladem wędruje kamera i oto poznajemy świat Bałtyku, spoczywający na dnie, i doświadczenia dla szerokiego widza tajemnicą. Reżyserem tego filmu jest J. Star, a zdjęć dokonał operator B. Bączynski i wspomniany nurek.

Cztery filmy — wszystkie warte obejrzenia.

G. T.

JUŻ NIEDŁUGO CANNES

W ramach festiwalu filmowego w Cannes, w dniach od 10 do 14 maja odbędą się, zorganizowany przez Europejską Unię Radiofoni-



czną konkurs o „Grand Prix Eurovision 1958 r.”. Będzie to konkurs na najlepszy film telewizyjny. Ogromny rozwój ilościowy światowej telewizji nie zawsze kroczy w parze z jej rozwojem jakościowym. Chodzi więc o to, by ożywić i poprzeć dążenia zmierzające do poprawy artystycznego poziomu programów telewizyjnych. Filmy telewizyjne muszą trwać minimum 30 a maksimum 60 minut. Pokazy odbywać się będą w hotelu Miramar, w ścisłym gronie 7-osobowe-

go jury i paru innych wta- jemniczonych. Prasa i publi- czność nie zostaną dopusz- czone.

8 maja odbędzie się w Cannes Dzień Filmu Ekspe- rymentalnego. Uczestnicy Festiwalu będą mieli moż- ność obejrzenia m. in. „Sym- fonii mechanicznej” Mitry, „Wizji fantastycznej” i „Ne- gatywów” Eugeniusza Des- slaw, „Zaczarowanego fletu” J. i A. Giaume oraz filmów Richtera Alvey'a, Anderso- na i Kubelki.

MŁODSI O 70 LAT

Na ogół bywa tak, iż z biegiem czasu przybywa lu- dziom latek. Ale czego nie wymyśla w tym atomowym stuleciu! Nic zatem dziwnego, że świetna aktorka fran- cuska Gaby Morlay (znana chociażby z „Mamy, taty...”) i jej partner André Loguet, mają najpierw 75 i 80 lat, a po niespełna dwóch godzi- nach liczą już sobie tylko 40 i 45. Zainteresowanych za- wiadomiamy, że wszystko to dzieje się w filmie André Berthomieu „Cholerna mło- dość” („Sacre Jeunesse”). Wymieniona wyżej para przechodzi z pomyślnym re- zultatem kurację odmładza- jącą pod pieczą znakomitego profesora.

SKAT

FILMY, KTÓRE CZEKAJĄ

„Sprawiedliwości stało się zadość” jest jednym z cie- kawszych filmów reżysera. Stawia on w nim sporny nie tylko wśród prawników pro- blem zabójstwa z litości czy eutanazji i pokazuje, że sprawiedliwość absolutna, to fikcja. Zabójczyni zostaje skazana, ale czy posunęło to na krok całą sprawę? Czy rzeczywiście sprawiedli- wości stało się zadość? Czy lu- dzie, którzy wydali wyrok, mieli do tego moralne pra- wo?

Zaważając jedynie akcję do sali sądowej, Cayatte u- miał wydobyc w filmie cały dramat głównej bohaterki i subiektywizm przysięgłych, na których werdykt mają wpływ pozornie białe i dru- gorzędne sprawy. Mimo, że tylko z rzadka kamera opu- szcza salę sądową, film trzy- ma w napięciu. Wielka to zasługa reżysera.

W MAJU NA EKRAKACH

Nadchodzący miesiąc przynie- sie nam bogatą mieszankę fil- mową: do wyboru i koloru, co kto lubi. Można więc będzie o- bejrzeć „Noce Cabirii” — głośny film Federico Felliniego z Giu- lietta Massina w roli tytułowej, lub lekki rewolwy „Folies Ber- ger”. Dalej sądowy film Cayat- te’a „Sprawiedliwości stało się zadość”, filmy o tematyce kry- minalnej „Kto zabił?” Clouzota oraz węgierski „Dwa zeznania”. Zobaczymy także Fernandela, tym razem jako człowieka zamie- szanego w zabójstwo pięknej ko- biety. Film jest parodią tanich obrazów sensacyjnych.

Nie zapomnijmy także o me- ksykańskiej „Jutrzence” — inte- resująca egzotyca scenaria, re- zultująca z wierności, na- problem miłości i wierności, na- dodatek uroczą Lucia Bose. Ca- lodobnie sprawnie kieruje Luis- Clouzot. Wreszcie hiszpańska Bunuel, „Główna ulica” J. A. Bardela, zachodnio-niemiecki melodramat „Ostatni buda pierwszy” i czeski film pt. „Straceńcy” i radziecki „Oddział Trubaczewa”.

(JAL)

EDWARD ETLER

REKLAMA JEST DZWIGNIĄ... KRYTYKI

Czytając prasę (zarówno fachową jak i tę, która jedynie dorywczo używa swoje łamy za- gadnieniem kina) zauważamy, iż tzw. „ostrze” krajowej krytyki filmowej popadło od jakie- goś czasu w wyraźne otępienie. Bo chociaż sprawy filmowe w dalszym ciągu zajmują na szpaltach czasopism miejsce wcale poczesne, to jednak charakter poszczególnych wypowiedzi uległ przekształceniu w sposób aż nazbyt widoczny, zastanawiający i... symptomatyczny. Najkrótszymi słowami można to streścić w jed- nym zdaniu: — skończył się czas potyczek i krytyki istniejącego stanu rzeczy. Nastąpił ok- res gloryfikacji...

Dlaczego? Jak do tego doszło? Czy sytua- cja rodzimej kinematografii wygląda dziś ina- czej niż przedtem?

Przed wszystkim, rozpatrzmy kwestię naj- bliższe widowni, związane z repertuarem kin. I tutaj natychmiast trzeba odnotować wybit- nie radosną ciekawostkę. Otóż mając na uwa- dzie program kin — i prowadzoną w tym zakre- sie politykę rzeczywistości trudno jest oprzeć się optymizmowi! Bowiem świat jest wielki, a my żyjemy w jednym kraju, gdzie repertuar kinowy jest nie tylko kontrolowany, ale wręcz ustalany przez ciało złożone z krytyków filmo- wych. Oczywiście, mam tu na myśli Filmową Radę Repertuarową oceniającą wszystkie bez wyjątku filmy, proponowane naszej organizacji rozpoznań i kwalifikuje. Kieruje się włas- nym rozeznaniami rynku i sprawą rozwoju kul- tury filmowej. Czy można sobie wyobrazić szczęśliwszą sytuację?

Ktoś już nazwał kino najpiękniejszą rzeczą, jaką wymyślił człowiek. Ale ta cenna zabawka od chwili swoich narodzin znalazła się w ręk- ach handlarzy. Posługując się kmem, wyko- rzystując jego magiczne właściwości, można załatwiać najprzeróżniejsze interesy. Nie tylko finansowe. Zostawmy jednak ten temat, bo nie mieści się on w zakresie niniejszych roz- ważań. Zajmijmy się mitami, którym na imię „gdzieindziej”.

Cóż to jest „gdzieindziej”? Zachodnia Euro- pa? Ameryka? Szeroki Świat? Ileż to razy owo „gdzieindziej” było słowem pisanyemu przeciw- stawiane sytuacji naszego kina? Jeśli już więc jesteśmy przy „gdzieindziej” to zapytajmy: Czy „tam” film ciekawy artystycznie, ale trudny, może dostać się na ekrany? Owszem, może. Nie są to jednak ekrany reprezentacyjne. Te są zarezerwowane dla filmów robiących „ka- sę”...

„Gdzieindziej” istnieje rzędną reklama, u- żywającą niekiedy wyrafinowanych środków, Nikt jednak przy pomocy tej reklamy nie po- leca filmów trudnych. One spełniają tylko funk- cje reprezentatywne. Usprawiedliwiają w ja- kimś sensie kinematografię, która znajdując się w rękach handlarzy, zajmuje się na codzien- produkcją typu komercyjnego. Skądinąd, fil- my o wysokich walorach artystycznych, także spełniają rolę reklamową. Pokazuje się je na festiwalach, zdobywają tam laury. A tymcza- sem ukrywa się za nimi terror filmów przy- noszących zysk...

U nas jest inaczej. Szczęśliwy terror filmów szlachetnych, zawierających wartości artysty- czne, względnie humanistyczne, równ ważony jest z konieczności — przez pewną ilość obra- zów „nieszkodliwych”. Dzięki temu kino mo- że pozwolić sobie na gest pokazania filmu trud- nego, a widz ma zapewnione, iż zobaczy wszy- stko, na co ma tylko ochotę. Stąd biorą się na ekrany filmy rozrywkowe, filmy o ma- lych pretensjach artystycznych, ale darzone wyjątkową sympatią widowni z różnych wzglę- dów, nad którymi nie będziemy się tutaj za- trzymywać. Te filmy, opacając obrazy trudne, o których z góry wiadomo, że przyniosą deficy- t. Dlatego nieprzemyślane ataki na niektó- re posunięcia zakupowe Rady — traktować na- leży li tylko jako wynik wąskiego punktu wid- zienia. Po roku eksploatacji okazało się na- przykład, że francuski film rozrywkowy „All Baba i 40 rozbójników” obejrzało u nas pra-



Sophia Loren w filmie „Złoto Neapolu”

wie 4 miliony widzów! Dzięki temu można by- ło pokazać „La Strada”. Dzięki temu może uda- się zakupić „12 gniewnych ludzi”.

Inna sprawa, że wspomniane wyżej filmy rozrywkowe nie zawsze są prawidłowo wpro- wadzone. Poprzedza je czasem niepotrzebna re- klama, która dezorientuje widza i przeszkadza rozwojowi kultury filmowej. Nie pomaga w kształtowaniu dobrego smaku taka reklama, która zapowiada przy okazji pierwszego z ber- gu filmu cuda natury artystycznej i wymienia nie nie znaczące nazwiska. Oddajmy jednak sprawiedliwość. Typową jest u nas zarówno reklama jak i recenzja polecająca widzowi rzeczy o istotnej wartości. Tego też nie ma „gdzieindziej”.

Czy jednak wszystko jest już w porządku? Czy jest czas na drzemkę i błogie przeświad- czenie, że rozwój kina znajduje się na naj- lepszej drodze? Niestety. Taką radość była by przedczesna. Chociaż by dlatego, że istnieje jeszcze zagadnienie dotąd przemilczane: — produkcja...

Wyjątkowo krótka anegdotka...

Pewien wyjątkowo tacie jego dzieło nie złośliwy reżyser na- przyda się nawet do korekci film bez uży- produkcji celuloi- da taśmy. W rezul- wych grzebieni.

W czasach, gdy jedynie czarnowidztwo i po- tepienie w czambuł gwarantowało atrakcyj- ność wypowiedzi, tycających się kinematogra- fii, a produkcji w szczególności, nastąpił ok- res równie osobiwy. Jedynie radosne śpiewy i triumfalne dęcia w trąby, mogą teraz liczyć na pobłażliwość czytelnika.

Jest że tak naprawdę?

Nie wiem. W każdym razie zdaje się o tym świadczyć setka szpalt drukowanego słowa, firmowanego pierwszorzędnymi nazwiskami. Należy więc odnotować, przynajmniej je wzglę- dów protokularnych, iż wyszły z mody kłótnie o kształt ideowy — artystyczny rodzimej kine- matografii. Przeżyły się paszkwile. Może dla- tego, że znakomita większość naszej krytyki, opiera swój byt finansowy na oficjalnych ins- tytucjach kina? Uwaga! Zbliżamy się do pa- radoksu. Dopiero przed chwilą opisywałem działalność Rady, powołanej do życia racja- mi najwyższej miary. Nasze kino ma więcej wsiel: stąd bierze się niejedna nutka opty- mizmu w artykułach pisanych na kredyt...

Nie muszę tłumaczyć, na czym polega glory- fikacja. Napotykamy ją co krok. A może znajduje ona swoje uzasadnienie w niewątpli- wych zresztą osiągnięciach artystycznych rod- zimej produkcji, które wydarzyły się na prze- strzeni ubiegłego sezonu? Jeśli tak, to trudno nie opatrzyć tego komentarzem. Otóż wiadome osiągnięcia nie usprawiedliwiają samouspoko- jenia, w jakim pograżyło się środowisko kry- tyków. Przecież na podstawie oficjalnych ko- munikatów już dziś możemy snuć smutne przy- puszczenia, że efekt aktualnych i planowanych poczynach twórczych da żniwo uboższe od po- przedniego. Świadczy o tym lista scenariuszy, nie zapowiadająca rewelacji... Obym się mylili!

W kinie

ŚMIECH W RAJU

Czy Angliki mają owo przy- słowowe, swoje własne poczu- cie humoru? Chyba je mają. W każdym razie, kiedy oglądamy angielską komedię — nieod- mienne zwykło jest przypomi- nać, że istnieje „angielski” dow- cip, rzecz o specyficznym cha- rakterze. Tymczasem ten dow- cip, zwany pochopnie „angiel- skim” jest nie tyle anglosaski, od narodowości i miejsca swo- jego pochodzenia, ile od swoje- go osadzenia w mentalności an- gielskiego mieszczucha. Ten przy komiku, trzymając stopy w ciepłych pantoflach, a fająk w zębach — wymyśla osobliwe, a zawsze absurdalne historyj- ki.

Jest że tak naprawdę? Nie wiem. Mogliby na ten temat po- wiedzieć sporo ludzi, którzy przyjechali z Anglii — ja tylko relacjonując pewne pojęcia, do- syć zakorzenione i popularne. Było nie było, jeśli chodzi o „Śmiech w raju” — to komizm tej komedii jest wcale nie z gatunku „specyficznego anglos- askiego” (wykluczony dla uła- wienia kilka drobnych sytuacji). Jest to najtypowszy komizm po- nadnarodowy, albo jak kto wo- li — kosmopolityczny, zresztą w udanym wydaniu.

Cóż to jest „Śmiech w raju”? To komedia filmowa, angielska, ale poddana procedurze dubbing- u. Kto się śmieje w raju? Przed wszystkim dowcipny sta- ruszek, kpiarz od urodzenia. Nie śmieje się z tego, że umarł. Ba- wił go natomiast sytuacja, którą zastał na ziemi. Obiecał bo- wiem swoim krewnym wcale pokazywać spadek. Pod jednym warunkiem... Mają, przed otrzy- maniem pieniędzy, wykonać o- kreśloną ilość poleceń, która kpiarz — nieboszyk dokładnie opisał w testamencie.

METODY

BIGAMISTA

Twórca „Bigamisty”, Luciano Emmer, znany jest u nas dzięki „Sierpniowej niedzieli”, „Dzie- wczątom z placu Hiszpańskiego”. Dlatego dziwi nas uboga pomy- słowość zaprezentowana przez niego w „Bigamisty” — w re- dzaju zasadniczo różnym od po- przednich, bo typowo rozrywko- wym.

Podobno ktoś zebrał, usyste- matyzował i nawet ponumero- wał wszystkie kombinacje, be- dące punktem wyjścia przeciw- nego filmu rozrywkowego. Za- pewnie schemat „Bigamisty” ma tam swoje miejsce, jako najłat- wiejszy i najczęściej wykorzy- stywany w filmach drugorzęd- nych. Jest to nieporozumienie o- parte na jednakowych nazwis- kach, próba wykorzystania tego nazwiska przez zakochaną ko- bietę.

SAK